Ostrzeżenie! Czasopismo zawiera wulgarne słowa oraz nieprzyzwoite, a nawet antyrządowe i przeciwkościelne treści.

CENA 7,90 zł w tym 8% VAT NR 5 (1741) 2–8 lutego 2024

nr indeksu 367125 ISSN 0867-2237

DZIENNIK COTYGODNIOWY

NIE

Czas Tuska, czas tyranii

str. 4

Marnotrawne dziecko Platformy

str. 3

Muzeum im. Kamińskiego i Wąsika sala tortur

Ilustr. KRZYSZTOF OLEJNIK

ISSN 0867-2237 INDEKS 367125
9 770867 223409 05

nie@redakcja.nie.com.pl www.tygodniknie.pl Tygodnik NIE YouTube Tygodnik NIE

eprasa.pl 5ab4f63b20

WOJNA DOMOWA

Oczarował nas red. Konrad Piasecki, który w rozmowie z Władysławem Kosiniakiem-Kamyszem zadał następujące pytanie: „Czy zaleca pan swojemu koalicyjnemu partnerowi na ten sejmowy dzień próby taktykę *no pasarán* i »ani kroku wstecz«?”. Przypomnijmy (choć czytelnikom „NIE” nie trzeba tego przypominać), że *no pasarán* (nie przejdą) to hasło wzniesione przez przywódczynię hiszpańskich komunistów Dolores Ibárruri, zapowiadające zatrzymanie frankistowskich faszystów. Zaś „ani kroku wstecz” to rozkaz nr 227 ludowego komisarza obrony Józefa Stalina z 28 lipca 1942 r., nakazujący zatrzymanie niemieckich faszystów, obwarowany skądinąd poleceniem rozstrzeliwania dezerterów. Wzrusza nas, jak głęboko w duszy czołowego publicysty amerykańskiej telewizji tkwią ikony komunizmu.

Prezes Kaczyński złożył bezprecedensową samokrytykę. Nagabywany w sprawie składek na ZUS dla samozatrudnionych wyjaśnił pokornie: „Ci, którzy przygotowywali ten ZUS, działali w ramach przygotowania tego, co nazwaliśmy Polskim Ładem, i to się okazało po prostu błędem. Przyznaję to: myśmy błędy też popełniali. Mogę panu teraz tylko powiedzieć: przepraszam, pomyliliśmy się”. Żeby nie zabrzmieć zbyt pokornie, prezes myśl rozwinął: „My byśmy mogli zapowiedzieć w tej kampanii sto jeszcze różnych rzeczy, że w ogóle każdy z was dostanie cadillaca, i to jeszcze z napędem atomowym” – tu zaśmiał się wytwornie, he, he – „tylko że, proszę państwa, no w to oczywiście nikt by nie uwierzył, ale w wiele zapowiedzi tamtych wiele osób uwierzyło”. Tak naprawdę jedyną zapowiedzią „tamtych” – co Kaczyński i jego towarzysze broni słusznie wytykali w kampanii – było „odsunięcie PiS od władzy”. Co, jak się okazuje, wystarczyło.

Dla wyrównania wrażenia słabości, jakie mogła wywołać jego samokrytyka, Jarosław Kaczyński przystąpił do ofensywy. „Wola Tuska jest prawem. Byli już tacy, których wola była prawem. Wola Führera była prawem” – ogłosił w Kielcach. Kilka dni później znowu zmienił front i przekaz złagodził: „To było wycinkowe porównanie. Donald Tusk użył terminu »prawo, tak jak my je rozumiemy« i ta analogia się narzuca – na tym odcinku, a nie na przykład w sprawie ludobójstwa”. I dodał znienacka: „My mimo wszystko taką współpracę w tych sprawach zupełnie fundamentalnych, które będą służyły polskim interesom i jednocześnie – co to dużo mówić – nie będą służyły interesom naszych sąsiadów, to jesteśmy do takiej współpracy gotowi. I będzie dla nas to też pewna weryfikacja, czy nasze sądy dotyczące naszych przeciwników nie są zbyt surowe”. Donald Tusk nie docenił wyciągniętej ręki – zapewne uznaje, że surowość porównania z Hitlerem jest jednak przesadna.

Telewizja Republika doniosła z przejęciem, że dziennikarze „Gazety Polskiej” „dotarli do kompromitujących taśm, na których został nagrany Michał Kołodziejczak”. Okazuje się otóż, że „z ujawnionych materiałów wynika, że lider Agrounii z pełną świadomością prowadził działania, które miałyby pomóc mu w dostaniu się do sejmu, lekceważąc przy tym swoich zwolenników, którzy byli przeciwni współpracy z Tuskiem”. To, że kandydat na posła „z pełną świadomością prowadził działania” na rzecz zdobycia mandatu, jest oryginalnym zarzutem, ale to nie wszystko: dalej Kołodziejczak narzeka na to, że „jest wyjątkowo chujowe i krzywdzące” to, że jak z powodu biedy w kampanijnych podróżach wynajmował z kolegą jeden pokój, „to mi mówili, że może my jesteśmy pedały, że razem śpimy. Z facetem źle, z kobietą źle, to ja już nie wiem jak dobrze”. Takie czasy, mocium panie.

Minister Izabela Leszczyna zorganizowała konferencję prasową, żeby ogłosić, jak będzie wyglądać opieka zdrowotna pod jej kierownictwem. „Ja chciałabym, żeby było bezpiecznie, jasno, kolorowo” – obwieściła i trudno się z nią nie zgodzić. Jeśli chodzi o konkrety, to minister zapowiada, że nie będzie już tak, że „zamożne rodziny, zamożni partnerzy, zamożne kobiety” będą „mogły sobie pozwolić na in vitro, ale już te biedniejsze nie”, bo „to nie jest sprawiedliwe”. Brawo! Pani Leszczyna obiecała także, iż „będziemy bankować gamety na koszt nas wszystkich, na koszt podatników”. W sprawie „terminacji ciąży” – „aborcja” politykom PO nadal trudno przechodzi przez gardło – ministra będzie wymagać od placówek mających kontrakty z NFZ realizacji tych kontraktów w obszarze „terminacji ciąży zgodnej z polskim prawem” i twardo egzekwować zasadę, że „podmiot leczniczy nie ma sumienia”. Jeśli chodzi o zmianę prawa na cokolwiek bardziej cywilizowaną: „my w Ministerstwie Zdrowia nad taką ustawą nie pracujemy”.

Piotr Prusinowski, prezes SN kierujący Izbą Pracy (ten z podgolonym kucykiem), nie ma nic przeciwko temu, że prezes Manowska nazywa go paleosędzią, co może wiązać się z jego młodzieńczym wyglądem. Sędzia Prusinowski i 36 jego paleokolegów podpisało się pod apelem do neosędziów o powstrzymanie się od orzekania, a do I prezes SN i prezesów Izby Cywilnej i Karnej – o ustąpienie ze stanowisk. Zapytany, czy sędziowie apelują z nadzieją sprawczości i skuteczności, sędzia Prusinowski odparł pogodnie: „Nie, dajemy świadectwo ginącego gatunku”. Pytanie, który gatunek sędziów ma zginąć, pozostaje wszakże otwarte. Jak donosi „Gazeta Wyborcza”, nowy rząd ma plan rozwiązania problemu Trybunału Konstytucyjnego przez informatora gazety opisywany słowami: „pójdziemy na ostro”.

Z URNY URBANA

Kiedy ze strony obecnej opozycji słychać jęki o niekonstytucyjności poczynań nowej władzy, przypomnijmy, co na temat pisowskich wyobrażeń o konstytucji pisał Urban w felietonie z lutego 2016 r.

3 maja nocą

Należy uchwalić ustawę, że konstytucję ustanawia zwykła większość posłów i senatorów. I skorzystać z domniemania jej konstytucyjności. Jednak Prawo i Sprawiedliwość nie umie napisać swojej konstytucji. Pomogę:

Preambuła

W imię Boga Wszechmogącego tak bardzo, że dokonał dobrej zmiany, my, Naród Polski – wszyscy rdzenni Polacy katolicy z wyjątkiem potomków komunistów lub kolaborantów, esbeków, milicjantów, zomowców, donosicieli, oficerów LWP, homoseksualistów, genderówek i zdrajców kształconych w ZSRR – przyjmujemy niniejszą Ustawę Zasadniczą.

Art. 1

Narodowa Rzeczpospolita Polska chroni ludzkie życie od zapłodnienia do ostatniego namaszczenia, z wyjątkiem życia najeźdźców obrońców Ojczyzny, bestii skazanych na powieszenie i nazbyt kosztownych pacjentów.

Art. 2

W NRP władza należy do narodu reprezentowanego przez Prawo i Sprawiedliwość. W imieniu PiS sprawuje ją dożywotnio prezes PiS. Wskazuje on kandydata na prezydenta, mianuje prezesa i członków Rady Ministrów oraz innych funkcjonariuszy państwa. Wybiera większość Sejmu i Senatu oraz określa treść ustaw.

Art. 3

Naród NRP dzieli się na bogatych, biednych i średnich. O statusie rodzin decydują władze polityczne działające za pośrednictwem urzędów skarbowych.

Art. 4

Rząd wydziela środki na Kościół, dzieci, zbrojenia antyrosyjskie, IPN, pomniki, politykę historyczną i propagandę zagraniczną. Z pozostałych pieniędzy układa budżet państwa.

Art. 5

Narodowa Rzeczpospolita Polska utrzymuje stosunki dyplomatyczne z państwami, z którymi je nawiązała. Zrywa je jednak z każdym państwem, w którym użyto określenia „polskie obozy koncentracyjne”. Art. 5 nie ma zastosowania wobec Stolicy Apostolskiej.

Art. 6

Obrona Polski jest w gestii Narodowych Sił Zbrojnych oraz pospolitego ruszenia patriotów i harcerzy. Młodzież szkolna po ukończeniu 10 lat wcielana jest do Szarych Szeregów.

Ustawa określi sposób upaństwowienia przemysłu zbrojeniowego oraz jego unowocześniania pozwalającego produkować visy i kałasznikowy dla uzbrojenia młodzieży szkolnej.

Art. 7

Prezesem Narodowego Banku Polskiego zostaje z urzędu minister finansów.

Art. 8

Wygaszone zostają: Trybunał Konstytucyjny, Sąd Najwyższy, urząd Rzecznika Praw Obywatelskich, Krajowa Rada Radiofonii i Telewizji. Powołuje się urząd Najwyższego Sędziego. Ulega on połączeniu z ministrem sprawiedliwości i prokuratorem generalnym, otrzymując nazwę najwyższego sędziego i prokuratora narodowego. Odpowiednio łączy się urzędy sędziów i prokuratorów wszystkich szczebli.

Art. 9

NSiPN może nakazywać śledztwa, zakazywać śledztw i zmieniać wyroki wszystkich sądoprokuratorów. NSiPN kieruje się prawem lub sprawiedliwością albo dobrem Narodu.

Art. 10

Bierne i czynne prawo wyborcze przysługuje dorosłym obywatelom obu płci, którzy należą do Narodu Polsko-Katolickiego z wyjątkami określonymi w preambule Ustawy Zasadniczej. Wyborcy zrzeszeni są w trzech kuriach:

a) zasłużeni dla dobrej zmiany – przysługują im 3 głosy;

b) wspierający dobrą zmianę – 2;

c) pozostali – 1 głos.

Art. 11

Prezydent Rzeczpospolitej ogłosi rozporządzenie zawierające listę partii politycznych dobrej zmiany, mających prawo zgłaszania kandydatów na posłów i senatorów.

Prezydent reprezentuje Naród Polsko-Katolicki przed prezesem Narodu, składając mu narodowe petycje.

Art. 12

Służby specjalne robią, co do nich należy. To, co do nich należy, stanowi tajemnicę państwową.

Art. 13

Politykę zagraniczną prowadzą prezydent, premier i odpowiedni minister z wyjątkiem polityki wobec Unii Europejskiej, Rosji i Niemiec zastrzeżonej dla prezesa Narodu posługującego się właściwymi urzędami państwowymi.

Art. 14

Konstytucję uchwala Zgromadzenie Narodowe zwykłą nocną większością głosów. Staje się ona Ustawą Zasadniczą najpóźniej 20 dni przed jej uchwaleniem i ogłoszeniem w imię Ojca i Syna, i Ducha Świętego.

URBAN

TRYBUNA LUDZI

Kto i dlaczego powinien zastąpić Kaczyńskiego na stanowisku prezesa PiS?

Facebook

Rafał Bartkowiak: Prezes jest jak WOŚP! Do końca świata i o jeden dzień dłużej!

Maciej Dadej: Krycha, również samotna i pierogi lubi.

Filip Tytus Wojtasiewicz: Prezes powinien pozostać na stanowisku bezterminowo. Najwyżej będzie rządził partią z mauzoleum.

Jacek Mac: Cały czas czekam na telefon…

Paweł Pyrlik: Poczta Polska przeprowadzi korespondencyjne wybory na nowego prezesa.

Eugeniusz Rezmer: Ozdoba, tak dla ozdoby stanowiska.

Maciej Dadej: Błyskawica Czarnecki, potrafi być w wielu miejscach jednocześnie.

Hubert Andrych: Szydło, bo jej się należy. Proste.

Maciej Dadej: Gowin, elastyczny jest, a i wszystkich ukocha.

Piotr Pasieczny: Jacek Sasin. Wszyscy wiemy dlaczego.

Marcin Mełech: Likwidator, żeby nie było niczego.

Michał Kwiatkowski: Czarnek najbardziej uosabia wszystkie wartości PiS-u: butę i zacietrzewienie.

Maciek Świć: Kryształ Kamiński z kryształem Wąsikiem.

Krashan Brahmanjara: Kaczyńskiego powinna zastąpić AI.

Roman Malowański: Nikt. Po co zmieniać na te parę miesięcy do delegalizacji?

Forum

BOG: Brat.

PRASA ŚNIADANIOWA

- Portal Fronda.pl przytoczył wywiad z **ks. Marianem Rajchelem**, którego szatan nęka SMS-ami. Szatan szczególnie upodobał sobie oferty fotowoltaiki.
- W Rumii na zakończenie **WOŚP** odpalono fajerwerki w środku hali sportowej. Zgodnie z polską zasadą „zmieścisz się, śmiało”.
- Według sondażu „Rzeczpospolitej” **Polacy** są podzieleni w sprawie zniesienia prac domowych w podstawówkach. W ramach kompromisu niech prace domowe będą zadawane tylko na lekcjach religii.
- **Magda Gessler** poskarżyła się, że czuje się szkalowana przez Janusza Palikota. Szkalowanie to by było, jakby napisał, że Gessler co wieczór opierdala podwójnego wieśmaca z frytkami.
- Jak podaje CBOS, notowania **Andrzeja Dudy** są najgorsze od trzech lat. A wystarczyło pojechać na narty.
- **Kardynał Ryś** powiedział, że Kościół ma bardzo ciężkie rany pozadawane mu przez własne dzieci. W końcu ateiści nie mogą robić wszystkiego.

MARTA M.

PRZEMINĘŁO Z WIATEREM

eprasa.pl 5ab4f63b20

Marnotrawne dziecko Platformy

Wygląda na to, że zamiast wyciąć raka, rząd będzie go karmił i doglądał.

Ilustr. KRZYSZTOF OLEJNIK

Media i politycy rzucili się na fundacje spółek skarbu państwa i wydawanie przez nie setek milionów złotych. Tymczasem fundacje właśnie po to były powoływane. Zwłaszcza za pierwszych rządów Tuska.

Najwyższa Izba Kontroli sprawdziła dziewięć firm państwowych, po czym złożyła 10 zawiadomień do prokuratury w sprawie uzasadnionego podejrzenia popełnienia przestępstwa przez sześć spółek z udziałem skarbu państwa i cztery fundacje. Inspektorom nie spodobało się, że w latach 2017–2021 firmy te przeznaczyły na darowizny blisko 841 mln zł, a 81 proc. tej kwoty przekazały utworzonym przez siebie fundacjom.

Fabryki partyjnych pieniędzy

W tym samym czasie na sponsoring spółki te przeznaczyły ok. 795 mln zł. Na zakup usług medialnych wydały ponad 1 mld zł. Najwięcej takiej kasy poszło do TVP – w 2021 r. ok. 26 mln zł. Od 2019 r. skontrolowane spółki nie kupowały takich usług w TVN.

Ponadto NIK wyszło, że w latach 2017–2021 spółki te zawarły niemal 2 tys. umów na zakup usług prawnych wartych 226,5 mln zł. No i ponad 335 mln zł na usługi doradcze.

Ktoś powie: przecież państwowe giganty potrzebują najlepszych prawników i superdoradców. Owszem, tyle że koncerny te zatrudniają takich ludzi na etatach. Skoro muszą wydawać setki milionów na zewnętrznych specjalistów, to po cholerę im działy prawne i całe piony specjalistów?

Do umów z kancelariami i firmami doradczymi nikt się jednak z formalnego punktu widzenia nie przyczepi, dlatego dla ludzi znających kulisy państwowego biznesu jest jasne, że pod tymi pozycjami kryją się gigantyczne przekręty.

Miliard na media i trochę mniej na sponsoring też wyglądają na działania sensowne. Jednak po jaką cholerę reklamuje się w telewizji produkujący miedź i srebro KGHM czy obsługujący państwowe instytucje rządowy Bank Gospodarstwa Krajowego? Nie wspominając o monopolistach energetycznych, takich jak PGNiG i giganci od energii elektrycznej. W ich przypadku transfer pieniędzy do określonych mediów zawsze jest wynikiem decyzji politycznej. Wystarczy zobaczyć, jak spadły przychody i zyski Agory i TVN po dojściu PiS do władzy, a jak wtedy urosła pula kasy z reklam firm państwowych dla mediów Sakiewicza, Rydzyka i braci Karnowskich.

Bękarty z platformianego łoża

Najciekawsze jednak są wymienione przez NIK fundacje. Wszak spółki skarbu państwa powinny głównie napychać kieszeń budżetu, czyniąc to na dwa sposoby. Po pierwsze, płacąc podatki. Po drugie zaś, wypracowując dla państwowego właściciela zysk, który w formie dywidendy wpływa do naszej wspólnej kiesy.

Państwu powinno zależeć, żeby tak podatki, jak i zysk były jak największe. Bo z pieniędzy budżetowych buduje się drogi, lotniska, mosty, a nawet wypłaca 800 plus. Ale nie tylko. Publiczne pieniądze są wydawane przez poszczególne resorty na tysiące najróżniejszych przedsięwzięć. Dofinansowuje się festiwale, dopłaca do organizacji pozarządowych albo wspiera hospicja. Wszystkie te granty, dotacje, dopłaty czy darowizny z grubsza powinny być zapisane w ustawie budżetowej.

Jakim zatem cudem zarządzane przez państwo firmy, zamiast dorzucać się do publicznych finansów, mają fundacje? Które po pierwsze, umniejszają szmal, który powinien trafiać do ministra finansów, a po drugie, wydają go według swego uznania.

I nawet nie chodzi o wspólną dla tych firm Polską Fundację Narodową, wymyślony przez PiS nowotwór, do którego – zamiast na konto państwa – w ciągu 10 lat miało pójść 650 mln zł. NIK tylko w skontrolowanych przez siebie spółkach obczaiła czteroletnie wpłaty na 152,5 mln zł. Chodzi o mianowane przez rząd zarządy i rady nadzorcze tych spółek, które zamiast dawać hajs właścicielowi – czyli państwu – puszczają miliony złotych po uważaniu.

Fundacje przy państwowych firmach nie są wbrew pozorom pomysłem PiS. Kilka istniało już w pierwszych latach tego tysiąclecia. Jednak prawdziwy wysyp instytucji zubażających budżet nastąpił za czasów Tuska. Wcześniej kontrolowane przez rząd przedsiębiorstwa wspierały z kasy na promocję i marketing najróżniejsze imprezy, w których mogło się pojawiać logo tego czy innego państwowego giganta. Ktoś w PO doszedł jednak do wniosku, że trzeba, żeby spółki skarbu państwa przypominały firmy prywatne, które zawsze zakładały jakąś fundację. Oczywiście po to, żeby „optymalizować podatki", ale i w celu dorobienia sobie miłej buźki kogoś, kto ratuje chore dzieci, wspiera zwierzątka czy pomaga umierającym. Politykom Platformy fundacje w spółkach skarbu państwa miały służyć do pozabudżetowego zasilania tych, których wspierać i zasilać było trzeba.

Pomysł PO spodobał się politykom PiS. Gdy wygrali, przestali opowiadać, że fundacje w państwowych spółkach trzeba zamknąć, co zwiększy wpływy do budżetu. Szybko się zorientowali, że to znakomity sposób, żeby finansować swoich i tych, których należy. Błyskawicznie wymienili platformianych beneficjentów darowizn na własnych. Ze szczególnym uwzględnieniem instytucji kościelnych. No i poobsadzali zasłużonych kolegów na prezesowskich, fundacyjnych, całkiem niegłupio opłacanych stołkach. Gdy i tego było za mało, sami wzięli się za tworzenie kolejnych fundacji.

Do najstarszych należy też założona w 2003 r. Fundacja KGHM Polska Miedź. W 2022 r. została obdarowana przez macierzysty koncern 42,2 mln zł. Wydała zaś 34 mln zł. Z czego 500 tys. zł dla Zarządu Zieleni Miejskiej we Wrocławiu na dofinansowanie projektu zagospodarowania skweru Kornela Morawieckiego, 350 tys. zł dla założonej przez Michała Dworczyka Fundacji Wolność i Demokracja w Warszawie, 250 tys. zł dla Fundacji Polska Wielki Projekt, gdzie w radzie programowej byli Gliński, Legutko i Krasnodębski, 91 000 zł dla Fundacji Instytut im. Kazimierza Promyka na wydanie dwóch tomów publicystyki historycznej Sławomira Cenckiewicza. No i na koniec wisienka: 445 tys. zł na realizację projektu „Wystawa sztuki zagrabionej w Muzeum w Sulisławicach" dostała fundacja Magdaleny Ogórek o starej polskiej nazwie Polish Lost Art Foundation.

Dzieckiem ekipy Tuska jest powstała w 2014 r. Fundacja Enea. W 2022 r. dostała od firmy matki 10,2 mln zł, a wydała 11 mln. Beneficjentów nie ujawniono.

Powstała w 2009 r. Fundacja Energa dwa lata temu rozdała 9,8 mln zł. Fundacja Tauron hula od 2012 r. W 2022 r. puściła w świat 4,1 mln zł. Czy ktoś wpadłby na pomysł, żeby Giełda Papierów Wartościowych miała swoją fundację? A jednak… Takie coś Platforma powołała w maju 2015 r., a siedem lat później PiS rozdał za jej pośrednictwem niemal 3 mln zł.

Z kopalni na parafię

Teraz będzie jeszcze większe zaskoczenie, bo jak wiadomo, od lat górnictwo jest na garnuszku państwa i dostaje budżetowe wsparcie. To nie przeszkadzało jednak utworzeniu w 2019 r. Fundacji JSW (Jastrzębskiej Spółki Węglowej), która w 2022 r. rozdała po uważaniu 5,7 mln zł. Z tego 40 tys. zł poszło na modernizację pomieszczeń w prywatnym katolickim przedszkolu w Ornontowicach, 50 tys. zł – na remonty budynku w jednej z parafii w Jastrzębiu-Zdroju, a 358 tys. zł dostała od górników Fundacja Dziedzictwo Polskie zarejestrowana w listopadzie 2021 r. w Warszawie na realizację filmu dokumentalnego o niemieckim bombardowaniu leżącego na Lubelszczyźnie Frampola we wrześniu 1939 r.

NIK dogrzebała się jednak do jeszcze ciekawszych kwitów. Jak wynika ze sprawozdań finansowych,

w utworzonej za czasów PiS przez BGK Fundacji Empiria i Wiedza koszty zarządu stanowiły blisko 77 proc. pieniędzy wydanych na działalności statutową.

W drugiej fundacji BGK – Most the Most – współczynnik ten wyniósł ponad 76 proc.

Oczywiście dla obserwatorów paranoi PiS to nic nowego. NIK udowadnia to, co i tak wiemy: że fundacje powoływano tylko po to, żeby właściwi ludzie mieli skąd brać całkiem duże pieniądze.

W tej sytuacji dziwny wydaje się pokontrolny apel izby do prezesa rady ministrów, zalecający „aktywne monitorowanie" działalności fundacji, w których spółki państwa są fundatorami.

Widocznie nawet prezesowi NIK Marianowi Banasiowi brakło wyobraźni, że świat bez fundacyjnego nowotworu jest możliwy.

TADEUSZ JASIŃSKI

Ogórek, czyli benefit

Fundacja Orlenu działa od 2001 r. W 2022 r. ze spółek koncernu otrzymała 172,7 mln zł darowizn. Tego samego roku rozdysponowała prawie 94 mln zł. W sprawozdaniu fundacja nie podała nawet pełnej listy beneficjentów, tylko przykłady, jak Koło Gospodyń Wiejskich w Wyrzece.

Trzy lata młodsza jest Fundacja PGNiG im. Ignacego Łukasiewicza. PGNiG też zresztą należy do Orlenu. Fundacja w 2022 r. dostała od koncernu gazowego 49 mln zł. Na działalność statutową wydała 20,7 mln zł. I też nie podała, kto dostał od niej pieniądze. Poszły one na – jak napisano w sprawozdaniu – „szeroko rozumiane wspieranie dziedzictwa narodowego i kultury, ale także działania na rzecz nauki i edukacji w zakresie nauk podstawowych, technicznych oraz sportu".

Ilustr. KRZYSZTOF OLEJNIK

MÓŻDŻEK TYGODNIA

Można by powiedzieć, że poseł Marek Jakubiak z pisowskiego Kukiz'15 to najmniej ciekawy z nieciekawych polityków prawicy, i na tym skończyć ocenę. Ale Jakubiak nie daje o sobie zapomnieć: co jakiś czas musi coś pierdnąć ustami. Ostatnio pierdnął o Wielkiej Orkiestrze Świątecznej Pomocy i – no pewnie! – o Tusku. „Od dziś […] odradzam moim zwolennikom" – napisał na Facebooku o zbieraniu, a raczej o niezbieraniu pieniędzy na WOŚP. Skąd taka decyzja? „Dlatego, że Owsiak użył setek tysięcy złotych na kampanię wyborczą". Czyją kampanię? „Szczególnie na kampanię wyborczą Donalda Tuska" – pierdnął Jakubiak w Telewizji Republika. „Ja wiem, ile kosztują te lokalizacje. Ja wiem, ile kosztują w Warszawie te billboardy. A Warszawa była cała oklejona. Więc szczerze powiem, [że] nabrałem wielkich wątpliwości i po prostu cechuje mnie dzisiaj nieufność do Owsiaka". A oto prawdziwa przyczyna tej nieufności: „Ponieważ startowałem z list PiS, [Owsiak] nazwał mnie złem".

Źle pana nazwał, panie pośle Jakubiak. Pan nie jest złem. Pan jest bezdennie durnym złem.

Rys. MIROSŁAW HAJNOS

eprasa.pl 5ab4f63b20

WIEŚCI GMINNE i INNE

Dwóch nastolatków spod Gorzowa Wielkopolskiego zawodowo mordowało staruszki. 75-latkę zadźgali, a 82-latkę udusili. W pierwszym przypadku zrabowali 7 zł, w drugim – kilka tysięcy. Pieniądze szybko przepuścili. Przystąpili więc do mordowania kolejnej kobieciny, ale im się nie udało. Generalny wniosek jest taki, że emeryci, mimo swoich 13. i 14. emerytur, nadal są grupą społeczną słabo uposażoną, a mordowanie ich dla zysku – kiepskim pomysłem.

Gdyby wybuchła wojna, która przy obecnym kierunku polityki międzynarodowej wydaje się nieunikniona, 37,4 proc. Polaków ewakuowałoby się w bezpieczne miejsce, 11,9 proc. wyjechałoby za granicę, a za broń chwyciłoby 15,7 proc. – to dane z sondażu przeprowadzonego przez Instytut Badań Rynkowych i Społecznych.

Rys. OBYWATEL JANEK

Sędzia Sądu Rejonowego w Grójcu prowadził auto po pijanemu, gdy został zatrzymany do kontroli drogowej w Radomiu. Prezes Sądu w Grójcu zawiesił w czynnościach służbowych sędziego na okres jednego miesiąca, żeby ostatecznie wytrzeźwiał. Rozważane jest odebranie mu zawodowego immunitetu i postawienie przed sądem w Grójcu lub Radomiu.

Na lotnisku Katowice Pyrzowice od trzech tygodni mieszka obywatel Wielkiej Brytanii Prince N. Prince – znaczy książę. Książę myje się w lotniskowej łazience i śpi na ławce w holu. Żywi się tym, co wymusi od innych podróżnych. Ambasada Wielkiej Brytanii obiecała, że kupi bilet dla własnego obywatela, jeżeli zdecyduje się na powrót do kraju. Książę się nie decyduje, gdyż uważa, że w Unii Europejskiej jest mu lepiej.

Maria Zakrzewska spod Rzeszowa wynajęła garaż przedsiębiorcy, który za wynajem nie płacił. Wezwała go zatem do opuszczenia lokalu, czego nie zrobił. Na poczet niezapłaconego czynszu zajęła więc cztery opony i fotel biurowy znajdujące się w garażu. Pan przedsiębiorca, bo to były jego opony, zawiadomił organa, że został przez panią Marię okradziony. Prokuratura oskarżyła panią Marię o przywłaszczenie rzeczy o wartości 1800 zł. Pana przedsiębiorcy o nic nie oskarża.

Na drodze wojewódzkiej nr 235 w miejscowości Zbeniny (woj. pomorskie) kierujący volkswagenem golfem nie ustąpił pierwszeństwa ciężarówce. W rezultacie doszło do poważnego wypadku. Prowadzący samochód osobowy przeżył, choć nie powinien jeszcze z jednego powodu. W jego krwi wykryto śmiertelne stężenie alkoholu wynoszące ponad cztery promile. Policja twierdzi, że jednak nie wie, ile dokładnie – bo skończyła się skala w alkomacie. To jest sygnał dla producentów alkomatów. Otwiera się nowy rynek. Policja potrzebuje urządzeń wykrywających pięć, a nawet sześć promili. Jest to też dowód na to, że ewolucja postępuje. Ludzkie organizmy są coraz silniejsze. Co kiedyś było śmiertelne, obecnie jest tylko rozweselające.

Fiat seicento, który zderzył się z kolumną rządową premier Beaty Szydło, został przekazany przez właściciela Sebastiana Kościelnika na aukcję Wielkiej Orkiestry Świątecznej Pomocy. Auto zostało odmalowane i stuningowane. Wygląda okazale, choć do jazdy się nie nadaje po sześcioletnim postoju na policyjnym parkingu. Tam stało zabezpieczone jako dowód w sprawie.

Prawicowe media, ale nie tylko, kipią z oburzenia na księgarnie Empiku, które sprzedają za 69 zł poduszkę dekoracyjną w kolorach czerwonym i czarnym z portretem Stepana Bandery. Stepan Bandera przypuszczalnie był mordercą, a najbardziej lubił mordować Polaków. Trochę nas to oburzenie dziwi. W Empiku można kupić wiele książek z portretem Stepana Bandery na okładkach, w których przeczytać można o jego niepoczciwym żywocie, i to jakoś nikogo nie oburza.

Zgodnie z ostatnim raportem GUS-u (pochodzącym z minionego roku, a dotyczącym roku jeszcze wcześniej minionego) samorządy województwa mazowieckiego wypracowały ogólny deficyt w wysokości 629,8 mln zł (2022 r.) przy nadwyżce z roku poprzedniego w kwocie 3,1 mld. Odbyło się to przy wzroście nominalnych wpływów podatkowych. Gdybyśmy mieli do czynienia ze spółkami prawa handlowego, księgowi zapewne rekomendowaliby ogłoszenie upadłości.

„CBA to bandycka organizacja, która powinna być zlikwidowana" – powiedział burmistrz Szprotawy Mirosław Gąsik, którego uniewinniono od zarzutu korupcji przed Sądem Rejonowym w Zaganiu. Łapówkę miał wręczać agent Centralnego Biura Antykorupcyjnego w ramach obowiązków służbowych. Tyle że burmistrz jej nie odebrał. Burmistrz Szprotawy ma więc rację.

Turysta, który przejechał się taksówką z Zakopanego na parking przed Morskim Okiem (23 km), zapłacił za kurs 361 zł. Taksówkarz tłumaczył, że akurat tyle, no bo jeżeli nie, to ile? Jako ludzie tolerancyjni i otwarci na różne poglądy, musimy się z góralem zgodzić. Jako pragmatycy nie rekomendujemy wizyty w Zakopanem.

22-latek z Chełma trzykrotnie ugodził nożem znajomego podczas kłótni. Martwe ciało zawinął w worek i ukrył pod łóżkiem. Rzecznik Prokuratury Okręgowej w Lublinie Agnieszka Kępka wyjaśniła, że z opinii biegłego patologa wynika, że rany nie były śmiertelne. Nożownikowi postawiono zarzut ciężkiego uszczerbku na zdrowiu. Wygląda zatem na to, że denat najpierw dostał kosą trzy razy w brzuch, a potem dopiero umarł na zawał.

W minionym tygodniu „Polityka" opublikowała przełomowy artykuł nadający nowy kierunek i charakter temu najważniejszemu pismu opinii w Polsce. Pismo Rakowskiego, Fikusa, Kapuścińskiego, Passenta, Turskiego, Wróblewskiego poddało próbie swoich czytelników tekstem pod tytułem: „Hot dog z marchewki". Autor tego nadzwyczajnego dzieła, nomen omen Tomek Mędrek, chwali się, że znalazł warzywo, które sprostało zadaniu wypełnienia hotdogowej bułki. Kolejne eksperymenty myślowe doprowadziły autora do konkluzji: „W kuchni roślinnej nie ma niemożliwego". Jasne. Trzeba uważać. W epoce mędrków wszystko może się zdarzyć.

R.J.

PS Informacje pobrano ze źródeł terenowych, a to wyklucza ich całkowitą prawdziwość. Za ewentualne pomyłki, przeinaczenia i niedopowiedzenia nie bierzemy odpowiedzialności prawnej ani honorowej.

Rys. WIDGET

Czas Tuska, czas tyranii

Mamy nadzieję, że Rafał Woś nie ma racji.

Rafał Woś – którego ciągle bardzo cenię, w odróżnieniu od większości lewackiej bańki, która go wypluła, jako do cna spisiałego – napisał niezwykle ponury tekst zatytułowany „Nadszedł czas tyranii. Tym razem niestety prawdziwej". Teza Wosia jest z grubsza taka, że Tusk idzie na rympał (trudno się nie zgodzić) i że nic go nie powstrzyma, albowiem „nowej władzy nikt (albo prawie nikt) nie patrzy na ręce".

Niewybaczalne

„PiS miał przeciw sobie potężną zagranicę – Unię Europejską, liberalne zachodnie media, sieć Sorosa. A w kraju silną opozycję, sprzyjające jej media i opiniotwórcze elity" – zauważa Woś, wywodząc, że to Kaczyńskiego w pewnym stopniu hamowało. „AntyPiS tego nie ma. Im nie będzie patrzeć na ręce ani zagranica, ani nie będą tego robiły liberalne media do spółki z Agnieszką Holland. A po przejęciu mediów publicznych z ręki PiS-u tych bezpieczników będzie jeszcze mniej" – wieści publicysta.

Spędziłam ostatnie tygodnie, zastanawiając się, czy Woś ma rację. A raczej – wyznam szczerze – dlaczego może jej nie mieć. Podzielając jego obawy związane z Donaldem Tuskiem – a także, w znacznym stopniu, pozytywną ocenę polityki społecznej i gospodarczej PiS – pozostaję bowiem wierna myśli, że odebranie władzy kaczystom było zmianą na lepsze. A przynajmniej powinno być.

Poza oczywistymi grzechami poprzedniej władzy (zamach na prawa kobiet, doszczętna klerykalizacja życia publicznego, instytucjonalna homo- i transfobia, gwałt na sądach, chciwość partyjnych funkcjonariuszy przekraczająca wszelkie granice) mam swoją osobistą listę rzeczy niewybaczalnych. Pierwsza jest na niej bandycka napaść na Polskę Ludową i jej ludzi. Obok całkowitego zakłamania historii, także w sferze rzeczywistej polityki, której ukoronowaniem była tzw. ustawa dezubekizacyjna. Jej ofiary wygrywają procesy przed sądami, ale z 45 tys. objętych ustawą tysiące procesu nie doczekały, a 68 wprost przypłaciło pisowską nienawiść życiem. Jak nauczał ukochany wieszcz Prawa i Sprawiedliwości: „zaiste nie w mojej mocy przebaczać".

Co więcej, zasady Realpolitik każą nam zrozumieć, że wybór w istocie rzeczy był między dżumą a tryprem; że Donald Tusk to jedyny polityk, który był w stanie odebrać Jarosławowi Kaczyńskiemu władzę w 2023 r. Ale – i tu się z Wosiem zgadzam – nie zwalnia nas to z krytycznego spojrzenia. A nawet wręcz przeciwnie.

Silni ludzie wyprowadzają

Na razie w przekazie rządu dominują „silni ludzie". Swego czasu minister Tomasz Siemoniak bardzo się oburzał, że Glapiński go „kłamliwie zacytował", bo silni ludzie z jego zapowiedzi mieli przychodzić i „przekonywać". Tymczasem jednak raczej wyprowadzają: a to z telewizji, a to z prokuratury, a to z Pałacu Prezydenckiego. Nowa władza wyraźnie postawiła na walkę z imposybilizmem, co wydaje się swoistym moralnym zwycięstwem Jarosława Kaczyńskiego, który przez całe lata podkreślał, że różnica między nim a liberałami jest taka, że u niego nie ma miękkiej gry.

Zapomnijmy

Działki dla deweloperów?

Prawie środek Warszawy, al. Niepodległości, niedaleko stacji metra Racławicka. Wychodzisz, a tu biedabudy z dykty, krzywe paliki na pomidory i chwiejąca się ławeczka. Wszystko ogrodzone siatką. Nie wejdziesz, nie przejdziesz. Z drugiej strony ścisłego centrum stolicy, przy Arkadii – tak samo. I w Łodzi wzdłuż al. Włókniarzy, Źródłowej przy parku Helenów. I praktycznie w centrach wszystkich wielkich polskich miast. Wszędzie ogrodzenia i slumsowa zabudowa czegoś, co nosi mafijną nazwę Rodzinnych Ogrodów Działkowych (ROD).

Płać i nic nie miej

Kawałek ziemi z szopką i paroma krzakami można kupić już za kilkanaście tysięcy złotych. Pod warunkiem że chce się go mieć w jakiejś pipidówie. W Poznaniu za ogródek działkowy z budynkiem wypada wyskoczyć nawet z 300 tys. zł. W innych dużych miastach – w zależności od lokalizacji – działkę o wymiarach kilka długości łopaty na kilka długości łopaty łyka się za kwoty pomiędzy 250 a 800 tys. zł.

Co jednak najśmieszniejsze, za tę cenę nie ma się niczego. Bo o tym, czy ktoś, kto kupił działkę, będzie mógł się na niej wylegiwać na leżaku, decyduje ciało o nazwie zarząd. I nawet gdy zarząd przyjmie tego, co kupił ogródek, w szeregi członków, to taki działkowiec wciąż nic nie ma. Zakup działki za 300 tys. zł daje jedynie prawo do korzystania z niej. Na dodatek za kasę.

Przy wstępowaniu do grona działkowców nabywca ogródka musi przelać jednorazowo od 120 do 300 zł opłaty wpisowej. Do tego zwykle dochodzi kilkudziesięciozłotowa tzw. opłata inwestycyjna – bo każdy ROD sam decyduje o jej wysokości. A potem co roku każdy działkowiec płaci składkę członkowską. Od 6 do 35 zł i opłatę ogrodową za każdy metr kwadratowy działki (jej wysokość to od 12 do 70 gr).

Na tym jednak nie koniec. Ogródki są bowiem oświetlone i mają podciągnięte prąd, wodę i kanalizację. Ponieważ montowanie liczników na każdej z działek się nie kalkuluje, to każdemu z działkowców wylicza się z reguły jakąś ryczałtową składkę. Idącą miesięcznie w kilkadziesiąt złotych co najmniej.

Wszystkie ogródki działkowe zajmują w Polsce niemal 45 tys. hektarów. Zdecydowana większość – 84 proc. – znajduje się na terenie miast. Dzielą się na prawie 5 tys. rodzinnych ogrodów działkowych, z których korzysta ok. 4 mln osób. Ziemiami, na których istnieją ROD, zarządzają zarządy ogródków. Właścicielem tej ziemi są albo ROD, albo skarb państwa lub samorządy. Żaden działkowicz nie ma prawa założenia sobie na ogródek działkowy księgi wieczystej. Gdy się wie to wszystko, to korzystając z kalkulatora, można sobie wyliczyć, że działacze działkowców są potęgą finansową, a zarządy ROD i ich czapa o nazwie Polski Związek Działkowców to pączki w maśle.

Willa ogródkowa

Czy zatem niefunkcyjni działkowicze płacący za spłachetek ziemi są jeleniami? Na pierwszy rzut oka tak. ROD to wydzielone obszary przeznaczone na cele rodzinnych ogrodów działkowych, z których korzystać mogą członkowie społeczności lokalnych. Ich celem jest zaspokajanie potrzeb wypoczynkowych, rekreacyjnych oraz socjalnych mieszkańców. W ramach realizacji tych celów na terenach ogródków można więc budować zarówno altany i szklarnie, jak również domki letniskowe murowane lub drewniane. Chałupka postawiona

eprasa.pl 5ab4f63b20

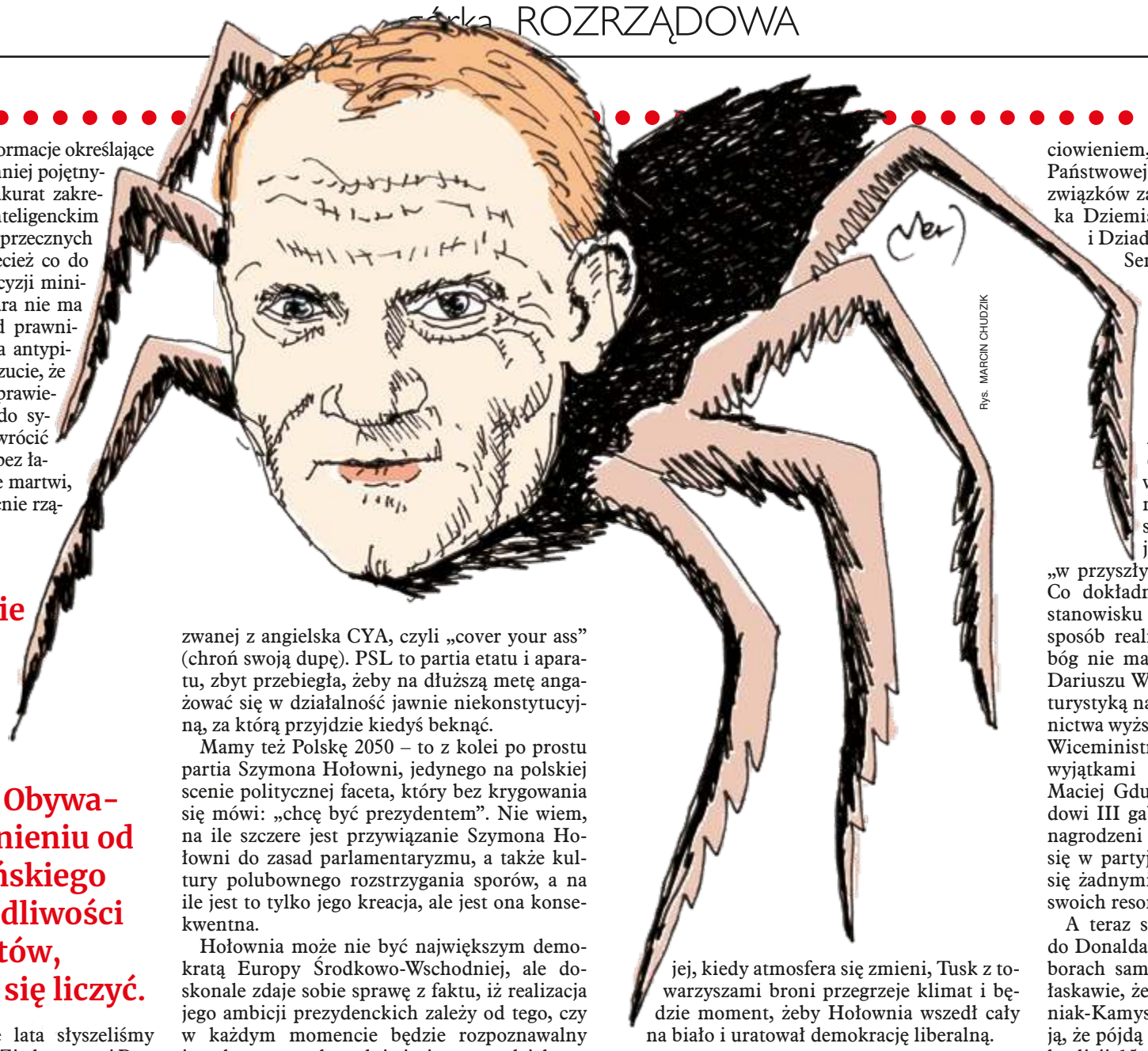

Rys. MARCIN CHUDZIK

Osobiście wolałabym, żeby formacje określające się jako demokratyczne były mniej pojętnymi uczniami prezesa w tym akurat zakresie. Nieco mi tęskno za tym inteligenckim niezdecydowaniem w obliczu sprzecznych informacji i ekspertyz. A przecież co do żadnej z kontrowersyjnych decyzji ministrów Sienkiewicza czy Bodnara nie ma zgodności opinii nawet wśród prawników uważanych tradycyjnie za antypisowskich. Od dawna mam poczucie, że wielkim sukcesem Prawa i Sprawiedliwości jest doprowadzenie do sytuacji, w której nie da się przywrócić stanu zgodnego z konstytucją bez łamania konstytucji. Nieco mnie martwi, że nie martwi to nikogo z obecnie rządzących.

Jednak w tej mrocznej godzinie udało mi się odnaleźć iskierkę nadziei: jest to fakt, iż Donald Tusk i Platforma Obywatelska – w odróżnieniu od Jarosława Kaczyńskiego i Prawa i Sprawiedliwości – mają koalicjantów, z którymi muszą się liczyć.

Wprawdzie przez ostatnie lata słyszeliśmy dość często o wojnie w obozie Zjednoczonej Prawicy i o tym, że Ziobro trzyma Kaczyńskiego za umowne jaja, bo bez Solidarnej/Suwerennej Polski PiS nie będzie miał większości, ale nikt nie spodziewał się, że Ziobro wykorzysta to trzymanie do tego, żeby temperować autorytarne zapędy prezesa. Jeśli już, to było odwrotnie: to ziobryści byli siłą napędową szczególnie niedemokratycznych zmian, zwłaszcza w sądach, z czego Mateusz Morawiecki gotów był zrezygnować.

W obecnej koalicji sytuacja ma się zgoła inaczej.

Żywią i dystansują się

Wśród partnerów, bez których większości nie będzie miał Donald Tusk, znajdziemy Polskie Stronnictwo Ludowe, partię mistrzów techniki zwanej z angielska CYA, czyli „cover your ass" (chroń swoją dupę). PSL to partia etatu i aparatu, zbyt przebiegła, żeby na dłuższą metę angażować się w działalność jawnie niekonstytucyjną, za którą przyjdzie kiedyś beknąć.

Mamy też Polskę 2050 – to z kolei po prostu partia Szymona Hołowni, jedynego na polskiej scenie politycznej faceta, który bez krygowania się mówi: „chcę być prezydentem". Nie wiem, na ile szczere jest przywiązanie Szymona Hołowni do zasad parlamentaryzmu, a także kultury polubownego rozstrzygania sporów, a na ile jest to tylko jego kreacja, ale jest ona konsekwentna.

Hołownia może nie być największym demokratą Europy Środkowo-Wschodniej, ale doskonale zdaje sobie sprawę z faktu, iż realizacja jego ambicji prezydenckich zależy od tego, czy w każdym momencie będzie rozpoznawalny i osobny, czy udowodni, że jest samodzielnym bytem politycznym, a nie przystawką Tuska. Na razie moim zdaniem idzie mu to dość nieźle – praktycznie udało mu się nie zaplątać w platformiane wojny z wyjątkiem decyzji o wygaszeniu mandatów Kamińskiego i Wąsika. Wygląda jednak na to, że organ, jakim jest marszałek sejmu, nie miał w tej akurat sprawie innego wyjścia z prawnego punktu widzenia. Fakt, że mimo wygaszonych mandatów pozwolił im wejść na salę obrad i pokazywać wulgarne gesty, zamiast wyrzucić ich na pysk strażą marszałkowską, był – w mojej opinii – dowodem na to, że marszałek chce dystansować się od bojowego wizerunku PO, nawet jeśli na razie z jego kalkulacji wynika, że nie warto wprost się przeciwstawiać. Nie wątpię, że Polska 2050 ma sondaże, które pokażą jej, kiedy atmosfera się zmieni, Tusk z towarzyszami broni przegrzeje klimat i będzie moment, żeby Hołownia wszedł cały na biało i uratował demokrację liberalną.

Wisząc u klamki Tuska

No i wreszcie mamy lewicę. Z którą – co mówię z głębokim bólem – wiążę w tej chwili najmniej nadziei.

Lewica po trosze w wyniku fatalnego (zawinionego) wyniku wyborczego, a głównie ze względu na żałosną jakość przywództwa stała się dziś partią klientelistyczną.

Z czterech (marnych) ministerialnych stanowisk zaledwie jedno – Ministerstwo Rodziny, Pracy i Polityki Społecznej – mogłoby stać się poważnym przyczółkiem do realizowania lewicowej polityki. Na razie jednak nic na to nie wskazuje. Zamiast rozpocząć działania na rzecz radykalnej reformy rynku pracy, walki z uśmieciowieniem, wzmocnienia roli i uprawnień Państwowej Inspekcji Pracy, wsparcia pozycji związków zawodowych, pani minister Agnieszka Dziemianowicz-Bąk świętuje Dzień Babci i Dziadka w Bielańskim Centrum Wsparcia Seniora, negocjuje umowę w zakresie zabezpieczenia społecznego z Japonią i powołuje roboczy zespół ds. poprawy sytuacji wcześniaków. Na odcinku rewolucyjnych zmian Dziemianowicz-Bąk wywaliła (a właściwie poprosiła o to Tuska) prof. Gertrudę Uścińską, szefową ZUS. Wyjaśnienie odwołania było dość lakoniczne („nowe wyzwania wymagają nowego otwarcia"), ale na razie z otwarciem kicha. Uścińska została odwołana 10 stycznia; jej następca miał zostać ogłoszony „w przyszłym tygodniu", ale nadal go nie ma. Co dokładnie robi Krzysztof Gawkowski na stanowisku wicepremiera od cyfryzacji i w jaki sposób realizuje tam lewicowy program, dalibóg nie mam pojęcia. O inżynierze elektryku Dariuszu Wieczorku z dyplomem z zarządzania turystyką na stanowisku ministra nauki i szkolnictwa wyższego litościwie nie będę wspominać. Wiceministrowie z lewicy, z bardzo nielicznymi wyjątkami (Wojciech Konieczny w zdrowiu, Maciej Gdula w nauce), odpowiadają standardowi III gabinetu Tuska: to partyjni działacze nagrodzeni za swoją skuteczność we wspinaniu się w partyjnych strukturach, niewyróżniający się żadnymi osiągnięciami z zakresu działania swoich resortów.

A teraz słyszymy jeszcze, że lewica łasi się do Donalda Tuska, żeby wziął ją na listy w wyborach samorządowych, na co PO odpowiada łaskawie, że się zastanowi. Zważywszy że Kosiniak-Kamysz i Hołownia stanowczo zapowiadają, że pójdą Trzecią Drogą – czyli wspólnej listy koalicji 15 października nie będzie – jedynym interesem, jaki mógłby mieć Tusk w zabraniu ze sobą lewicy, jest totalne jej zwasalizowanie.

W charakterze przystawki Platformy Obywatelskiej lewica będzie znaczyła jeszcze mniej niż Nowoczesna, Inicjatywa Nowackiej czy Zieloni. Tusk gardzi postkomuną i nie zawaha się dawać temu wyrazu. Formacja, która dała III RP najwyżej w jej historii ocenianego prezydenta i czterech premierów, stanie się politycznym niebytem, a jej liderzy będą wisieć u pańskiej klamki w nadziei na kilka biorących miejsc i garstkę etatów.

Nie idźcie tą drogą, Towarzysze.

AGNIESZKA WOŁK-ŁANIEWSKA
awl@redakcja.nie.com.pl

o ogródkach

bez zgody zarządu i – oczywiście – zezwolenia, nie może mieć więcej niż 35 mkw. powierzchni i wysokość do 5 m, gdy dach jest pochyły, lub 4 m dla dachów płaskich. Oczywiście taki domek może mieć podpiwniczenie.

Ogródki działkowe umożliwiają także postawienie urządzeń rekreacyjnych dla dzieci, a nawet ogrodzenia. Byle o wysokości do 1 m i ażurowej strukturze. Zabronione jest natomiast budowanie na ich obszarze komórek, szop oraz toalet wolnostojących.

Jeśli jednak zarząd ogródków da zgodę, to można walnąć budynek mający w podstawie więcej niż 35 mkw. A ponieważ PiS zniosło konieczność uzyskiwania zgód na domy mające do 70 mkw. na jednej kondygnacji, to po zbudowaniu hacjendy można ten fakt zgłosić w urzędzie, nie obawiając się żadnych jaj.

Oczywiście na terenie ROD nikomu nie wolno mieszkać cały rok. Tylko kto miałby taki przepis egzekwować? Obecność zimą w piętrowym domku mającym ogrzewanie, wodę, prąd i kanalizację nie służy przecież mieszkaniu, ale kontroli, czy ktoś się nie włamał lub czy jakaś rura nie pękła. Takie tłumaczenia wystarczą policji i strażnikom miejskim. Dlatego w wielu ogródkach mieszkają ludzie, i to wcale nie ci bezdomni. Czymś, co ich odróżnia od innych osób mieszkających w domach wolnostojących, jest jedynie brak adresu zarezerwowanego przecież dla całego ROD.

Ale i to można zmienić, gdy chałupka w ogródku działkowym ma już kilka lat. Zgodnie z nowelizacją prawa budowlanego właściciel tzw. samowoli może złożyć wniosek o jej zalegalizowanie. Dokument zostanie zatwierdzony przez urzędników bez rozpatrywania jego zasadności. Dotyczy to co prawda wyłącznie konstrukcji, których budowa została zakończona co najmniej 20 lat temu, ale kto zakwestionuje, że budynek mający 12 lat nie ma 20? Szczególnie że żadnemu urzędnikowi nie będzie się chciało tego sprawdzać.

Patologie związane z ogródkami można mnożyć. Nieustające pijatyki przy grillach. Hodowanie pomidorków w centrach miast, które dzięki rurom wydechowym i smogowi mają w sobie dużo ołowiu i kobaltu. Nie wspominając o kurach – dozwolonych na działkach – które, żrąc zanieczyszczoną miejskim powietrzem trawę, znoszą świecące w ciemności jajka.

Są i pozytywy. Ogródki są przecież zieloną enklawą wśród asfaltu i betonu.

Ilustr. KRZYSZTOF OLEJNIK

Miliarderzy ze slumsów

Brzydoty ogródkowej Polski Związek Działkowców broni jak niepodległości. Najnowszy lament działaczy dotyczy tego, że we wrześniu 2023 r. weszła w życie pisowska nowelizacja ustawy o planowaniu i zagospodarowaniu przestrzennym, a właściwie rozporządzenie do tej ustawy. Zdaniem PZD nowe przepisy mogą stać się podstawą do likwidacji większości polskich ogrodów działkowych.

PiS zrobiło ustawę na złość samorządom dużych miast. Gminy nie mają bowiem w większości planów zagospodarowania przestrzennego, dzięki czemu deweloperzy załatwiają sobie, co chcą, za łapówki. Gdyby rządziło PiS, to wziątki trafiałyby do kieszeni jego ludzi i nikomu by to nie przeszkadzało. Ponieważ jednak miastami rządzą inni, to trzeba było im pogonić kota. Nowela mówi więc, że do 1 stycznia 2026 r. wszystkie gminy mają stworzyć tzw. plan ogólny zagospodarowania przestrzennego. Miasta mają zostać podzielone na kilkanaście tzw. stref funkcjonalnych.

Rozporządzenie do tej ustawy przyjęło, że ogrody działkowe będą mogły być dopuszczone tylko w dwóch rodzajach stref funkcjonalnych: strefie zabudowy jednorodzinnej oraz w strefie zieleni i rekreacji. A zatem ogródki musiałyby się znajdować w tych strefach, aby można je było wpisać do nowo tworzonych miejscowych planów zagospodarowania. Znajdujące się poza nimi nie mogłyby być do niego wpisane, a to stanowiłoby podstawę do ich likwidacji.

Głosu PZD wysłuchano i dopisano, że ROD będą mogły być w jeszcze jednej strefie: wielofunkcyjnej z zabudową mieszkaniową wielorodzinną.

Dla działaczy działkowych to oczywiście za mało, bo chcieliby stworzenia kolejnej strefy funkcjonalnej dla ogrodów działkowych albo umożliwienia funkcjonowania ROD w każdej ze stref.

Dla większości z nas wszystkie te obawy i zastrzeżenia są bez sensu, bo przecież ogródki powinny znaleźć się w terenie przeznaczonym po ich ewentualnej likwidacji na parki i inne zielone połacie rekreacji i wypoczynku. Ale widać władza ma plany opchnięcia tego pod deweloperkę z niską zabudową. Wychodząc z założenia, że jak coś jest na gruncie publicznym, to władza ma prawo robić z tym, co chce. A pamiętajmy, że ROD są właścicielami ledwie kilku procent terenu ogródków działkowych.

Interes działkowców w obronie status quo jednak jest. Niezmienny i ten sam od lat. PZD od dziesięcioleci walczy o zapis, że stowarzyszenia ogrodowe są właścicielami ogródków. Stowarzyszenia, czyli zarządy, znaczy działacze.

Setki hektarów w centrach miast mają dla nich wymiar nie ekologiczny czy rekreacyjny, ale stricte finansowy. Wyrażający się w miliardach złotych. Gdyby działacze przejęli te tereny, to staliby się bardzo bogaci. Wszak pierwsze, co zrobiłyby uwłaszczone zarządy, to opchnęły ogródki deweloperom.

Sama walka z rozporządzeniem też ma sens z ich punktu widzenia. Gdyby bowiem doszło do likwidacji ogródków nie na potrzeby jakiejś ważnej inwestycji publicznej, ale z mocy prawa, to tak zarządy, jak i pojedynczy działkowcy nie mogliby liczyć na sute odszkodowania.

I tu dochodzimy do wyjaśnienia, dlaczego ludziom opłaca się wykładać ciężkie pieniądze na kilka metrów kwadratowych chaszczy.

Jeśli ogródki państwo przejmuje pod budowę węzła drogowego, placu czy obwodnicy, to pieniądze na wykup gruntów zawsze ma. Może więc płacić działkowiczom. Kilkanaście lat temu, gdy w Poznaniu buldożery zrównały z ziemią wszystko, co było w jednym ROD, pod strefę ewakuacji kibiców ze Stadionu Miejskiego, płacono działkowiczom odszkodowania od 20 do 100 tys. zł. Kilka lat temu we Wrocławiu było o połowę więcej. Na Śląsku też.

Podmiot likwidujący ogród zobowiązany jest wypłacić działkowcom odszkodowanie za składniki majątkowe znajdujące się na działkach i stanowiące ich własność oraz za prawa do działki w ROD. Prócz tego działkowcy mają prawo do dodatkowego odszkodowania w wysokości wartości przewidywanych plonów. No i najważniejsze: odszkodowanie przysługuje także stowarzyszeniu ogrodowemu, czyli zarządowi. Ile ono mogłoby wynieść, nikt z zarządów ROD ani z PZD nie chce powiedzieć. Ciekawe dlaczego.

TADEUSZ JASIŃSKI

eprasa.pl 5ab4f63b20

ETYKA BEZBOŻNA

Gwałt rurą

Prezes byłej Polski (bo ta teraz to już jest Generalna Gubernia bis) oświadczył, że bohater narodowy, pierwszy więzień polityczny krwawego reżimu Ryżej Wrony Mariusz Kamiński był w więzieniu torturowany. O tych straszliwych wydarzeniach niezwłocznie powiadomione zostaną wysokie trybunały europejskie, jakkolwiek niewiele można się po nich spodziewać, skoro też są niemieckie. Jednakże prędzej czy później Donald Rzeźnik Tusk, który osobiście rozkazywał zadawanie mąk Nieskazitelnemu, zostanie pojmany i skazany na długoletnie więzienie. Tak nam dopomóż Bóg!

Rys. PRZEMYSŁAW ZAMOJSKI

Te paradne opowieści Jarosława Kaczyńskiego (przytoczone tu dokładnie i bez wyolbrzymiania) zdumiewają i bawią, lecz pomimo całego ich idiotyzmu warto zatrzymać się nad wydarzeniami w Przytułach Starych, które to gościnnie przytuliły dzielnego pogromcę korupcji, oferując mu bogate menu jadeł i napitków, podczas gdy ten, wbrew prawom gościnności, odmówił ich skosztowania (choć za napitki nie ręczymy, bo woda i jej córeczka wódka, o ile nam wiadomo, są naszemu koleżce niezbędnie do życia potrzebne). Na to gospodarze tak się zdenerwowali, że wzięli niewdzięcznego gościa w pasy i wlali mu co nieco zupki przez rurkę zwaną zgłębnikiem. A że nasz niewydarzony ciałem, choć wielki duchem bohater urodził się rzekomo z krzywym nosem, wsadzanie mu rury do nosa bolało. I to właśnie były owe tortury.

Wierzymy, że bolało. Gwałt nosowo-gardłowy rurą nie daje odczuć przyjemnych, z których trzeba by się potem spowiadać. Jest to, rzec można, nieprzyjemność w stanie czystym i niezmieszanym. Był więc przymus, był ból. Można wobec tego zapytać, przynajmniej teoretycznie: byłyż to tortury? Przyjrzyjmy się tej sprawie poważniej.

W normalnym znaczeniu tego słowa tortury to wywoływanie mąk fizycznych w celu ukarania kogoś bądź wydobycia od kogoś informacji. Można też mówić o torturach ofiary perwersyjnego znęcania się, na przykład z lubieżności. Mamy tu do czynienia z przymusem i cierpieniem. A to, co przydarzyło się Kamińskiemu, czyli nakarmienie go przez zgłębnik, również było przymusowe i bolesne. Na tym jednak podobieństwa z torturą się kończą. Kamiński nie został ukarany, nikt nie miał przyjemności z karmienia go zgłębnikiem, nikt też nie chciał wydobyć od niego w ten sposób żadnych informacji. Przymusowe karmienie było zabiegiem ratującym zdrowie, zarekomendowanym przez lekarzy i nakazanym przez sąd penitencjarny. Powinno się ono odbyć w sposób możliwie najmniej nieprzyjemny dla osadzonego i skoro odczuwał ból, można przypuszczać, że nie został dostatecznie znieczulony do tego zabiegu. Wymaga to wyjaśnienia. Warto też dopytać, czy sąd nie mógł nakazać odsunięcia tej procedury w czasie, skoro można się było spodziewać, że w ciągu kolejnej doby Kamiński zostanie ułaskawiony i zwolniony z więzienia. Bardzo możliwe, że rozważano tę kwestię, lecz uznano, że sytuacja zdrowotna głodującego przemawia przeciwko temu. Sąd zapewne uczynił tak, jak wnioskowali o to lekarze. Tak czy inaczej, w najgorszym razie może się okazać, że przymusowe karmienie Kamińskiego było pewną nadgorliwością, a sam zabieg wykonano bez należytej staranności. Może tak się okazać, ale nie musi. Zobaczymy. W każdym razie chodzi o jakiś drobiazg, tak jak drobiazgiem jest wsadzenie zgłębnika przez nos, w porównaniu do wszystkiego, co nazywa się torturą.

Dlaczego jednakże w ogóle stosuje się przymusowe karmienie głodujących więźniów? Tak jest na całym świecie i są po temu ważne powody. Wolny człowiek może się zagłodzić, jeśli chce. Ma prawo popełnić samobójstwo. Jako pacjent w szpitalu również może odmówić przyjmowania pokarmów, jeśli tylko jest w pełni władz umysłowych, a lekarzom nie wolno wówczas zastosować przymusu. W niektórych krajach (w tym w Polsce) nie można nawet głodującego na własne życzenie pacjenta wydalić ze szpitala. Inaczej jest jednakże z więźniem. Nie jest on już człowiekiem wolnym i jego prawa są ograniczone. Między innymi nie ma już swobody w prowadzeniu głodówki, niezależnie od jej przyczyny. Oczywiście głodówka w imię tezy, że prezydent może skutecznie ułaskawić kogoś w świetle prawa niewinnego (nieskazanego prawomocnym wyrokiem sądu), jest sama w sobie czymś śmiesznym i żałosnym, lecz nawet gdyby chodziło o coś poważnego, na przykład protest z powodu złego traktowania w więzieniu, władze żadnego państwa nie pozwolą sobie na to, żeby ktoś obarczał je odpowiedzialnością moralną za śmierć więźnia. Uleganie szantażowi moralnemu jest dla państwa zupełnie niewyobrażalne. Dla państwa praworządnego również. Dlatego głodówki w więzieniach nie mają sensu. Zwłaszcza głodówki pojedynczej osoby, bo gdy głoduje stu więźniów, to przymusowe karmienie ich staje się technicznie trudne, przez co protest może okazać się skuteczny (zbiorowe głodówki więźniów często związane są z żądaniem… lepszego żywienia).

Kamiński głodował, aby uczynić z siebie bohatera. Przymusowe karmienie dobrze zrobiło jego legendzie pośród zwolenników PiS. Zapewne bardzo się dziś cieszy, że do tego doszło, a Tusk zapewne jest z tego faktu niezadowolony. Ale wszystko to jest bez znaczenia. Nie takie kłopoty czekają Mariusza Kamińskiego w przyszłości. Niechaj więc je, a zwłaszcza pije na zapas, bo nie wygląda, aby jego przyszłość kulinarna miała być tak urozmaicona jak jego kartoteka.

JAN HARTMAN

Rys. MIROSŁAW HAJNOS

WIARA CZYNI CZUBA

1. Pastor Alistair Begg, gospodarz religijnego programu „Prawda dla życia" od 12 lat nadawanego w sieci radiowej AFR należącej do ultrakonserwatywnej organizacji Stowarzyszenie Rodzin Amerykańskich, stracił pracę. Jego kazania znikają ze 120 stacji należących do sieci, albowiem udzielił niewłaściwej odpowiedzi na pytanie, czy wierząca babcia powinna pójść na ślub wnuczka z osobą transpłciową. Odpowiedź brzmiała: tak, powinna, i nawet niech kupi prezent, bo w przeciwnym razie utwierdzi go w przekonaniu, że wierzący są osądzający, krytyczni i pozbawieni tolerancji, a tak może go kiedyś nawróci. Szef stowarzyszenia Tim Wildmon wyjaśnił słuchaczom, dlaczego jest to rada tak zła, że Begg musi wylecieć z radia: kiedy syn alkoholik poprosi ojca, żeby go zawiózł do baru, to odpowiedzialny ojciec odmawia.

2. W Arabii Saudyjskiej w dzielnicy dyplomatycznej Rijadu ma zostać otwarty sklep z alkoholem – pierwszy w kraju od wprowadzenia prohibicji w 1952 r. Sklep ma być dostępny jedynie dla dyplomatów z krajów niemuzułmańskich, którzy będą mogli kupić ograniczoną liczbę butelek i – z bliżej nieznanych przyczyn – będą musieli zdeponować komórki przy wejściu. Mimo to niektórzy obywatele są oburzeni. „Nie osądzam ludzi, którzy piją. Nie, absolutnie nie. Ale kiedy coś takiego się pojawia, to ma wpływ na kulturę i społeczność. Powiedzmy, że mam młodszego brata: jeśli alkohol jest dostępny, istnieje możliwość, że zostanie alkoholikiem" – wytłumaczył dziennikarzowi „Guardiana" jeden z tubylców zagadnięty we francuskiej restauracji LPM, gdzie można dostać kilkadziesiąt gatunków bezalkoholowego wina.

3. Ksiądz Jerry Howell oskarżany o molestowanie dziesiątek dzieci – w tym nieletnich rezydentów kościelnego ośrodka dla głuchych – do 2020 r. otrzymywał emeryturę z diecezji Nowy Orlean. Dopiero sąd zabronił diecezji (która ogłosiła bankructwo, żeby uciec przed wierzycielami wygrywającymi kolejne procesy o molestowanie) utrzymywać sędziwych pedofilów. Arcybiskup Nowego Orleanu Gregory Aymond nie krył oburzenia. Nazwał wyrok niesprawiedliwym i bolesnym. Teraz okazuje się, że diecezja nie zostawiła Howella na pastwę losu: skierowała go do organizacji non profit, która finansowo „pomaga księżom takim jak ojciec Howell". „Żarliwie modlimy się, aby ojciec Howell odniósł sukces w poszukiwaniu tych zewnętrznych zasobów" – napisał Aymond w liście do nuncjusza Watykanu w USA abp. Christophe'a Pierre'a.

4. Viktor Orbán odgryza się Unii Europejskiej. „Węgry nie dadzą się szantażować! Na świecie nie ma dość pieniędzy, aby zmusić nas do oddania naszych dzieci w ręce aktywistów LGBTQ. To niemożliwe!" – ogłosił węgierski premier w odpowiedzi na zalecenia dotyczące zakazu propagandy LGBT. Komisja Europejska zapowiedziała, że Węgry nie dostaną należnych im 20 mld euro, jeśli nie zmienią ustawy, która zakazuje „promowania lub przedstawiania rozbieżności z tożsamością odpowiadającą płci przy urodzeniu, zmiany płci lub homoseksualności w mediach", co oznacza prasę, telewizję, kino i literaturę. Wiceprzewodniczący Fideszu Gergely Gulyás dodaje, że homofobiczne prawo jest zgodne z wolą narodu i jego zmiana byłaby niedemokratyczna i nieakceptowalna.

5. Mała katolicka organizacja z Englewood w stanie Kolorado pozywa Zakon Maltański. Założyciele Kolektywu Avodah Keenan Fitzpatrick i jego żona Brianna twierdzą, że zakon i jego specjalna wysłanniczka ds. walki z handlem ludźmi Deborah O'Hara-Rusckowski „użyli swoich wpływów w społeczności katolickiej" do rozpowszechniania informacji, że Avodah sprzeniewierza fundusze darczyńców, co naraziło organizację na utratę reputacji i darowizn, a także afiliacji przy archidiecezji Denver. Organizacje związane z Zakonem Maltańskim dały Fitzpatrickom 750 tys. dolków na remont byłej plebanii z przeznaczeniem na schronisko dla ofiar handlu ludźmi, ale potem „zniecierpliwiły się opóźnieniami wynikającymi z problemów z łańcuchem dostaw i niedoborów siły roboczej" i nie tylko odebrały im plebanię, ale niesprawiedliwie popsuły reputację.

Rys. MIROSŁAW HAJNOS

6. Katolicka agencja CNA informuje czytelników, jak wygląda piekło, przywołując opisy uzyskane od kilku świętych. Np. Teresa z Ávila informowała, że Bóg osobiście pokazał jej wejście do piekła: „bardzo długi, wąski zaułek, jak bardzo niski, ciemny i wąski piec z podłogą z błota o toksycznym zapachu". Natomiast błogosławiony Santiago de la Vorágine donosi, że „pewnego dnia święty Makary Opat, wielki pogromca demonów, znalazł czaszkę". Zapytana przez Makarego „czaszka odpowiedziała, że należy do poganina, a jego dusza znajduje się na dnie piekła". Opat kontynuował przesłuchanie, dopytując czaszkę, „kto znajduje się poniżej jej duszy; czaszka powiedziała mu, że na dnie znajdują się dusze »złych chrześcijan«, ponieważ »za życia lekceważyli krew Chrystusa, którą zostali odkupieni«".

7. Biuro szeryfa Jacksonville opublikowało „manifest" Ryana Christophera Palmetera, który 26 sierpnia 2023 r. w sklepie Dollar General w Jacksonville zastrzelił troje Afroamerykanów, po czym popełnił samobójstwo. „Zabiłem garść czarnuchów i pedałów – i to dobrze" – ogłosił Palmeter, dodając, że czarni i LGBTQ są „najbardziej śmiercionośnymi objawami zaawansowanego rozkładu społecznego obecnego w każdym zachodnim kraju". Po czym zacytował słowa pieśni folkowej grupy z Maine, nawiązującej do buntu sosnowego z 1772 r.: „Kiedy nie ma już nic poza ogniem w mojej piersi i powietrzem, które wypełnia moje płuca, powstrzymam łzy i wymienię swoje lata na krótkie spojrzenie na Nadejście Królestwa. Na Boga, znów będziemy mieli nasz dom, krwią czy potem zdobędziemy go, na Boga będziemy mieli nasz dom".

eprasa.pl 5ab4f63b20

Dziękujemy, wszystko wiemy

Rząd Tuska nie jest na Zachodzie widziany tak dobrze, jak twierdzi Sikorski.

Rys. PRZEMYSŁAW ZAMOJSKI

Radosław Sikorski, zapytany o to, jak odpowiada w Europie na pytania o „więźniów politycznych w Polsce", odparł chwacko: „Ja partnerom zagranicznym tłumaczę, co ci dżentelmeni zrobili. To znaczy: ukartowali spisek przeciwko wicepremierowi na podstawie sfałszowanych dokumentów, tworząc przestępstwo, które nie istniało, po to, żeby przysłużyć się swojej partii i nie stracić władzy. Wszyscy mówią: »dziękujemy, już wszystko wiemy, żadne demokratyczne państwo takiego procederu nie może tolerować«". Tego samego dnia Sikorski był gościem programu BBC „HARDtalk". I wiecie co? Rozmowa wyglądała nieco inaczej.

Naprawdę, naprawdę paskudni

„HARDtalk" – wyjaśnienie dla tych, którzy nie są zaciekłymi widzami BBC – to rozmowy prowadzone przez Stephena Sackura, który jest niezwykle uprzejmym, bardzo przystojnym i upiornie dociekliwym Anglikiem. Radek Sikorski zaczął rozmowę od radosnego „miło cię znowu widzieć, Stephen", ale potem było już coraz mniej miło. Nie wiem, jak wyglądają rozmowy Sikorskiego z „partnerami zagranicznymi", ale rozmowa z BBC bynajmniej nie potoczyła się tak harmonijnie, jak przedstawiał to Radek w sejmie.

Dla porządku: Sackur nie zapytał Sikorskiego o „więźniów politycznych", to szef MSZ sam wychylił się z tą opowieścią, która miała udowodnić, że wszystko, co robi polski rząd, jest słuszne i demokratyczne. I jeśli wnioskować na podstawie pytań zadawanych przez dziennikarza BBC – który wszak nie śledzi polskiej sceny politycznej na bieżąco, opiera się raczej na tym, co o Polsce mówi się w świecie – wizerunek, jaki towarzyszy Tuskowym działaniom, nie jest tak dobry, jak minister spraw zagranicznych chciałby przedstawiać.

„Mówił pan, że wybory sprzed dwóch miesięcy, które zaowocowały zmianami w rządzie, to był »cywilizacyjny wybór polskiego społeczeństwa« i że macie zamiar odwrócić coś, co nazwał pan »przechwyceniem państwa«. Czy osiągacie to poprzez, na przykład, wyrzucenie wszystkich pracowników publicznej telewizji albo robienie rzeczy, które Trybunał Konstytucyjny waszego własnego kraju uznaje za nielegalne? Czy to jest sposób, w jaki zachowujecie wierność konstytucji i wartościom demokratycznym?" – zagadnął uprzejmie Sackur. „Cóż, Trybunał Konstytucyjny został dopakowany przez poprzedni rząd. Wyobraź sobie, że twój pracodawca, BBC, zostałby opanowany przez Breitbart (to taki ultraprawacki spiskowy portal w USA – przyp. AWŁ) i zacząłby nadawać naprawdę ekstremalną, paskudną, partyjną propagandę… Normalny rząd, gdyby objął władzę, nie mógłby tolerować ludzi, który to zrobili. Telewizja publiczna złamała swój statut, który mówi – tak jak wasz – że ma być bezstronnym, profesjonalnym źródłem informacji. Więc, owszem, niektórzy ludzie zrobili bardzo złe rzeczy, wzięli za to bardzo dużo pieniędzy i będą pociągnięci do odpowiedzialności".

Demokraci niebezsilni

I wiecie co? Sackur nie powiedział: „dziękujemy, wszystko już wiemy", tylko nietaktownie drążył dalej: „Problem polega na tym, że wielu obserwatorów bardzo martwi się o przestrzeganie przez wasz rząd konstytucyjnych zasad i demokratycznych wartości. Fundacja Helsińska w ostatnich tygodniach wyraziła głębokie zaniepokojenie działaniami waszego rządu, innymi słowy: nie jesteście lepsi od poprzedników". Nie zabrzmiało to jak komplement dla skuteczności przywracaczy demokracji – przyznacie.

Sikorski wyglądał na niespeszonego. „Nie" – odparł krótko, po czym wdał się w przydługie wyjaśnienia: „Mieliśmy 75 proc. frekwencji w wyborach, w których ludzie zaprotestowali przeciwko korupcji, niewłaściwemu użyciu służb specjalnych dla politycznych interesów partii i naprawdę, naprawdę paskudnej, ekstremalnej propagandzie, która nie może być tolerowana. My, demokraci, nie możemy być bezsilni, kiedy radykałowie próbują zmieniać ustrój, nie mając konstytucyjnej większości". I znów: nie było żadnego „dziękujemy"; Stephen Sackur zdawał się nawet cokolwiek (choć u Brytów to trudno wyczuć) zirytowany bojowym monologiem lekko nie na temat.

„Mówi pan: »my, demokraci«, a ja właśnie patrzę na cytat z wyroku polskiego Sądu Najwyższego karcącego wasz rząd za likwidację państwowych mediów. Wasz problem polega na tym, że zdajecie się mówić: »żeby powrócić do norm demokratycznych, musimy zachowywać się w niezwykle nieliberalny sposób«". A Sikorski na to pogodnie: „Nie". I rozwija: „mówię, że polskie sądy zostały częściowo opanowane i zaczęły częściowo zachowywać się zgodnie z życzeniami partii politycznej, zamiast być bezstronnymi". Sackur: „Ale, jeśli wolno zauważyć, to jest dokładnie to, co PiS mówił po objęciu władzy: że sądy, które oni odziedziczyli, były nieakceptowalne, opanowane i partyjne"… Sikorski na to, ze słabo już skrywaną irytacją: „No poza tym, że w tamtych czasach sądy były właściwie wybierane i nie były wybierane przez polityków".

Czyżby? A kto w 2015 roku, tuż przed utratą władzy, zapowiadaną przez wszystkie sondaże, wybrał sobie na zapas dwóch sędziów TK, mimo iż ich kadencja upływała już po wyborach? Nielegalność tego wyboru, przypomnijmy, uznał TK jeszcze w starym składzie. Oczywiście w zestawieniu z tym, co zrobiło z trybunałem PiS, można to uznać za drobiazg, ale obiektywnie rzecz biorąc, nielegalne kombinowanie przy składzie trybunału zaczęła Platforma w 2015 r.

Dalej w las

Tego Stephen Sackur oczywiście nie wiedział, więc pozwolił Sikorskiemu tokować dalej: „Tu naprawdę nie ma porównania. Dam panu przykład" – i tu właśnie minister sięgnął po argument ostateczny: rzekomych więźniów politycznych. „Jest wielki rejwach o dwóch polityków, którzy byli w więzieniu. To ludzie, którzy zmontowali fikcyjną sprawę korupcyjną z fałszowanymi dokumentami przeciwko członkowi ich koalicji, wicepremierowi, którego nie lubili. Przegrali, zostali skazani, skazani w apelacji i mam nadzieję, że się pan ze mną zgodzi, że takie zachowanie nie może być tolerowane"…

I znów brytyjski dziennikarz nie zachował się zgodnie z oczekiwaniami i w odróżnieniu od mitycznych „partnerów zagranicznych" Sikorskiego z opowieści sejmowej nie zgodził się entuzjastycznie, tylko zbył Radka krótkim „ok" i przeszedł do ostatniego pytania: „W wielu demokracjach na całym świecie, w Stanach, w Europie, widzimy głęboką, poważną, niebezpieczną polaryzację. Czy nie ma niebezpieczeństwa, że w ciągu najbliższych kilku miesięcy będziemy świadkami pogłębienia się polaryzacji w Polsce, ponieważ prezydent Duda, który ma swój własny mandat, może użyć veta do zatrzymania wielu rzeczy, które wy chcecie zrobić? Polska jeszcze nie wyszła z lasu; Polska wchodzi coraz głębiej w jakieś bardzo niebezpieczne lasy" („wyjście z lasu" to idiom, oznaczający zażegnanie niebezpieczeństwa, wyjście na prostą). Troska – zdawałoby się – zupełnie uzasadniona.

Ale minister Sikorski niebezpieczeństwa nie dostrzega. „Prezydent Duda ma swoje prawo veta i my je respektujemy. Wczoraj ułaskawił tych dwóch polityków, którzy nadużyli władzy, i my to wykonaliśmy, zwolniliśmy te osoby z więzienia, mimo że 65 proc. Polaków uważa, że powinni w więzieniu zostać. Niech to będzie najlepszy dowód naszych dobrych intencji w stosunku do konstytucji".

Usłyszmy to: minister spraw zagranicznych rządu „demokratycznej koalicji" uważa za osiągnięcie godne pochwały fakt, że rząd zrealizował zapisaną w konstytucji prerogatywę prezydenta, mimo iż lud jest innego zdania.

Las się zagęszcza.

AWŁ

REKLAMA

W oparach ekonomii umiaru

Ponure urodziny Kołodki

Z okazji 75. urodzin prof. Grzegorza Kołodki na warszawskiej Akademii Leona Koźmińskiego odbyła się konferencja, w której udział (choć zdalnie) wzięło trzech noblistów i Francis Fukuyama, który wprawdzie Nobla nie dostał, ale dzięki swej fenomenalnie mylnej przepowiedni o końcu historii stał się naukowym celebrytą pierwszej wody. Konferencja nosiła tytuł „Zmiany geopolityczne i ich implikacje dla rozwoju gospodarczego", trwała dwa dni – pierwszy po angielsku, drugi po polsku – i jak na uroczystość urodzinową była raczej mało radosna.

W sesji zatytułowanej optymistycznie „Tertium datum" (nie jestem pewna, czy nie powinno być „datur") Francis Fukuyama miał mówić o tym, że istnieje trzecia droga między kapitalizmem a socjalizmem, ale w praktyce zajmował się głównie narzekaniem nad kryzysem liberalizmu i faktem, że od 17 lat światowy indeks demokracji spada, wykazując, że wolności i praw jednostki jest na Ziemi coraz mniej. Już nie tylko w krajach stricte autorytarnych, ale także w demokracjach, takich jak Indie, Turcja, Węgry czy – przez cztery lata – USA, liderzy używają swej populistycznej charyzmy, żeby atakować liberalny konsensus.

W polskiej części konferencji od prof. Andrzeja K. Koźmińskiego usłyszeliśmy, że „przytulny świat" Europy przełomu wieków już raczej nie wróci: „Mam zasadnicze wątpliwości, czy ten styl życia będzie do utrzymania w warunkach narastających konfliktów, a nie widzę opcji wygaszenia". Prof. Marek Ratajczak zauważył nie bez złośliwości, że choć kryzys 2008 r. uświadomił społeczeństwom Zachodu szkodliwość koncepcji neoliberalnych, neoliberalizm świetnie się trzyma w środowisku ekonomistów i redakcjach czasopism naukowych.

Prof. Paweł Kozłowski ponuro zauważył, że o ile gospodarka powinna być rynkowa, o tyle społeczeństwo zdecydowanie nie, a tymczasem sami siebie traktujemy jako towar, czego najlepszym dowodem jest fakt, że większość z nas ma w szufladzie gotowe CV.

Prof. Ewa Łętowska z nietypową dla siebie bezpośredniością zauważyła, że „mamy gęby pełne frazesów" i te frazesy są wehikułami różnego rodzaju iluzorycznych działań jak *greenwashing*, czyli pozorne dbanie o środowisko, czy też *human right washing*, czyli pozorne państwo prawa.

Prof. Janusz Reykowski mówił o tym, dlaczego ostatnie 20 lat przyniosło tak bujny rozwój populizmu. Dlatego otóż, że lata 90. to wielki triumf demokracji, załamanie reżimów autorytarnych – powstało tyle nowych demokratycznych krajów, że Fukuyama napisał swoją nieszczęsną książkę o końcu historii. Atoli owa demokracja – w autoprezentacji – miała być źródłem wolności i równości, tymczasem radykalny neoliberalizm spod znaku reaganomiki i thatcheryzmu zaczął pouczać ludzi, że są kowalami własnego losu, więc jeśli sobie nie radzą, to ich własna wina. Populizm ma dla nich lepszą odpowiedź: władzę objęła złodziejska elita, która zdeformowała demokrację, a my ją zbudujemy od nowa. „Choroba populizmu może być opanowana w mniejszym lub większym stopniu, ale jeśli zapomni się o konieczności łączenia polityki gospodarczej ze społeczną, może powrócić" – zakończył złowieszczo Reykowski, wyraźnie adresując swój przekaz do nowego polskiego rządu.

Prof. Marian Gorynia, prezes Polskiego Towarzystwa Ekonomicznego, zabawił zebranych opowieścią o tym, że pięć największych organizacji edukacyjnych ogłosiło 2024 Rokiem Edukacji Ekonomicznej i rozesłało do ekonomistów ankietę, gdzie było pytanie o ekonomię umiaru: „to pojęcie na czasie, w czasach rosnących cen oglądamy złotówkę z każdej strony, czy to stały trend".

Ekonomia umiaru nie polega na tym, że poszczególni ludzie muszą zaciskać pasa z powodu galopującej inflacji, tylko na dobrowolnej rezygnacji z nadmiernej konsumpcji, której Ziemia może nie wytrzymać, co organizacje zajmujące się edukacją ekonomiczną powinny wiedzieć.

W konferencji z okazji 75. urodzin prof. Kołodki wzięło udział – jak zwykle w Kołodkowych konferencjach – kilkudziesięciu wybitnych intelektualistów, ludzi z olbrzymią wiedzą akademicką i doświadczeniem w pracy państwowej. Były to najbardziej przygnębiające dwa dni, jakie zdarzyło mi się ostatnio przeżyć.

Do prof. Kołodki, którego wielbię nieustannie od ćwierćwiecza, chciałam zatem – obok najserdeczniejszych życzeń – wystosować nieśmiałą prośbę, żeby swój następny jubileusz obchodził w bardziej optymistycznych czasach.

AGNIESZKA WOŁK-ŁANIEWSKA

eprasa.pl 5ab4f63b20

Z CZARNEJ DUPY SIĘ WYRWAŁO

***Telewizja Trwam** była dla mnie **odtrutką od szlamu medialnego**, który wylewał się z pozostałych tzw. mainstreamowych telewizji. Bardzo dziękuję Telewizji Trwam. Codziennie odmawiałem transmitowany w Telewizji Trwam Różaniec, **modliłem się z całą Rodziną Radia Maryja**. Wczoraj, kiedy zaczynał się Różaniec, było otwarte okno w celi, słyszałem ludzi, którzy krzyczą i dodają mi otuchy, nagle podczas modlitwy różańcowej otworzyły się drzwi od celi, wszedł funkcjonariusz Służby Więziennej i oznajmił mi, że wychodzę na wolność. **To nieprzypadkowa koincydencja**.*

Maciej Wąsik (PiS), TV Trwam, 24 stycznia

*Jesteśmy świadkami kryzysu demograficznego, który pogłębia się w tempie zatrważającym. Tym, co przeraża mnie najbardziej w obecnej sytuacji społeczno-politycznej, jest fakt, że **odpowiedzią Koalicji Obywatelskiej na kryzys demograficzny** w naszym kraju jest **propozycja odbierania życia każdemu nienarodzonemu dziecku** – bez podania przyczyny – w pierwszym trymestrze ciąży […]. Innym pomysłem KO […] **jest propozycja zabijania dzieci nienarodzonych podejrzewanych o ciężkie wady, niepełnosprawność** aż do 24. tygodnia ciąży, a w niektórych przypadkach **aż do porodu**.*

Magdalena Guziak-Nowak, Polskie Stowarzyszenie Obrońców Życia Człowieka, Radio Maryja, 25 stycznia

*Jeżeli zablokuje się możliwość rozwoju dziecka poprzez podanie odpowiedniego preparatu, to tym samym doprowadzi się do jego uśmiercenia. Czy dokona się to **przed implantacją zarodka, czy po niej, to już kwestia wtórna**. Jakie ma znaczenie, czy ktoś zostanie uśmiercony przed obiadem, czy po obiedzie; w domu czy na ulicy?*

ks. dr hab. Piotr Kieniewicz, Polska Agencja Prasowa, 24 stycznia

*Chociaż ustrój komunistyczny upadł w Europie Środkowej i Wschodniej, to jednak – według Jana Pawła II – walka z Kościołem i próba zbudowania cywilizacji bez Boga nadal trwają. Widzimy to dziś na własne oczy, kiedy pojawiają się **nowe ideologie powołujące się na swą rzekomą naukowość** i dążące do zaprowadzenia nowego porządku. Kiedyś rewolucjoniści głosili, iż człowiek powinien uwolnić się od krępujących go struktur społecznych, własności prywatnej, religii chrześcijańskiej czy tradycyjnej moralności. Obecna **faza emancypacji** […] postuluje **wyzwolenie ludzkości od rodzicielstwa i macierzyństwa**, […] a także od własnej płci, ponieważ to **podział płci na żeńską i męską ma rzekomo ograniczać człowieka**.*

Grzegorz Górny, Radio Maryja, 28 stycznia

*Minister Bodnar zdjął krzyż w gabinecie. Jak PRL-owski kacyk. Gdyby czytał Pismo Święte, wiedziałby, że **wszyscy, którzy walczyli z Bogiem, ostatecznie ponosili klęskę**. Choćby nie wiem jakimi mocarzami się czuli.*

Marcin Warchoł (Suwerenna Polska), X, 25 stycznia

*Instytut Ordo Iuris od dawna przypomina, że Konstytucja RP broni wolności i praw człowieka, życia, małżeństwa i rodziny. **Radykalna lewica** zdaje sobie z tego sprawę i dlatego nie mogąc legalnie zmienić obowiązującego prawa, chce je łamać, aby móc realizować w Polsce **genderowe postulaty**. Jeśli dziś nie zatrzymamy lewicy atakującej polski ład prawny, to już niedługo radykałowie nie tylko **zalegalizują w Polsce aborcję na życzenie czy homoadopcję**, ale będą wsadzać do więzień obrońców wartości pod pretekstem walki z mową nienawiści.*

Jerzy Kwaśniewski, Instytut Ordo Iuris, Pch24.pl, 28 stycznia

Wybrał **KLECHA**

Ciąg dalszy batalii katoprawackich ultrasów o „wolność słowa”.

Męczennicy wścieklizny

Nie milkną jęki katolickich fundamentalistów w związku z planowanym wprowadzeniem penalizacji mowy nienawiści. Opisany w tekście „Prześladowcy prześladowani” („NIE”, nr 4/2024) skowyt Instytutu Ordo Iuris to preludium prawicowej kakofonii. Do chóru walczących o zwyrodniałą postać szeroko pojętej wolności słowa dołączył Paweł Ozdoba, prezes zarządu Centrum Życia i Rodziny. Ażeby słowo ciałem się stało, do krzyża poświęcenia przybił pierwszego męczennika w sprawie.

Absurdobus

17 stycznia Sąd Okręgowy w Gdańsku utrzymał w mocy wyrok skazujący na rok ograniczenia wolności w wymiarze 20 godzin prac społecznych miesięcznie Mariusza Dzierżawskiego za sprawstwo kierownicze i zniesławianie osób LGBT. Sąd zobowiązał oskarżonego do umieszczenia przeprosin wobec oskarżycieli prywatnych i gdańskiego stowarzyszenia Tolerado, a także do pokrycia kosztów sądowych i wpłaty 15 tys. zł nawiązki na rzecz Polskiej Akcji Humanitarnej. Żeby było przyjemniej, nadmienię, że obrońcami Dzierżawskiego byli prawnicy z Ordo Iuris.

To finał pięcioletniej batalii w sprawie tzw. homofobusów, które w 2019 r. wyjechały na ulice polskich miast. „70 proc. zachorowań na AIDS dotyczy pederastów”, „31 proc. dzieci wychowywanych przez lesbijki i 25 proc. wychowywanych przez pederastów jest molestowanych”, „czyny pedofilskie zdarzają się wśród homoseksualistów 20 razy częściej”, „Tacy chcą edukować twoje dzieci” – takie hasła znajdowały się na plandekach i były emitowane dźwiękowo z furgonetek. Pomysłodawcą tego spektaklu był właśnie Dzierżawski – znany działacz antyaborcyjny, prezes Fundacji Pro – Prawo do Życia, której nazwa może wprowadzać w błąd, bo jej działacze najchętniej wypleniliby ze społeczeństwa każdego, kto nie szoruje kościelnych posadzek na klęczkach.

Wyrok, mimo że niski, ucieszył cywilizowanych obywateli, a doprowadził do wścieklizny okrężnicy katolickich ultrasów.

„Mariusz Dzierżawski w swojej działalności i kampanii informował o tym, że związek między homoseksualizmem czy też aktywizmem homoseksualnym a pedofilią istnieje, co więcej, powoływał się na badania naukowe, oficjalne statystyki. Wyrok ten jest zaskakujący, można powiedzieć, że wręcz skandaliczny, bowiem doszło do całkowitego zaprzeczenia instytucji, która powinna być miejscem orzekania o prawdzie, o stanie rzeczywistym […]. Polski działacz społeczny został skazany za to, że mówił prawdę, a dodatkowo nie można mówić niczego złego o środowiskach LGBT w Polsce” – spruł japę na antenie Radia Maryja Paweł Ozdoba.

Pomijając, że nazwanie Dzierżawskiego „działaczem społecznym” to odwrócony Monty Python, śmiem przypuszczać, że nawet w burdelach nie widzieli akrobacji podobnych do tych, jakich dokonywał Ozdoba, żeby bronić kolegi.

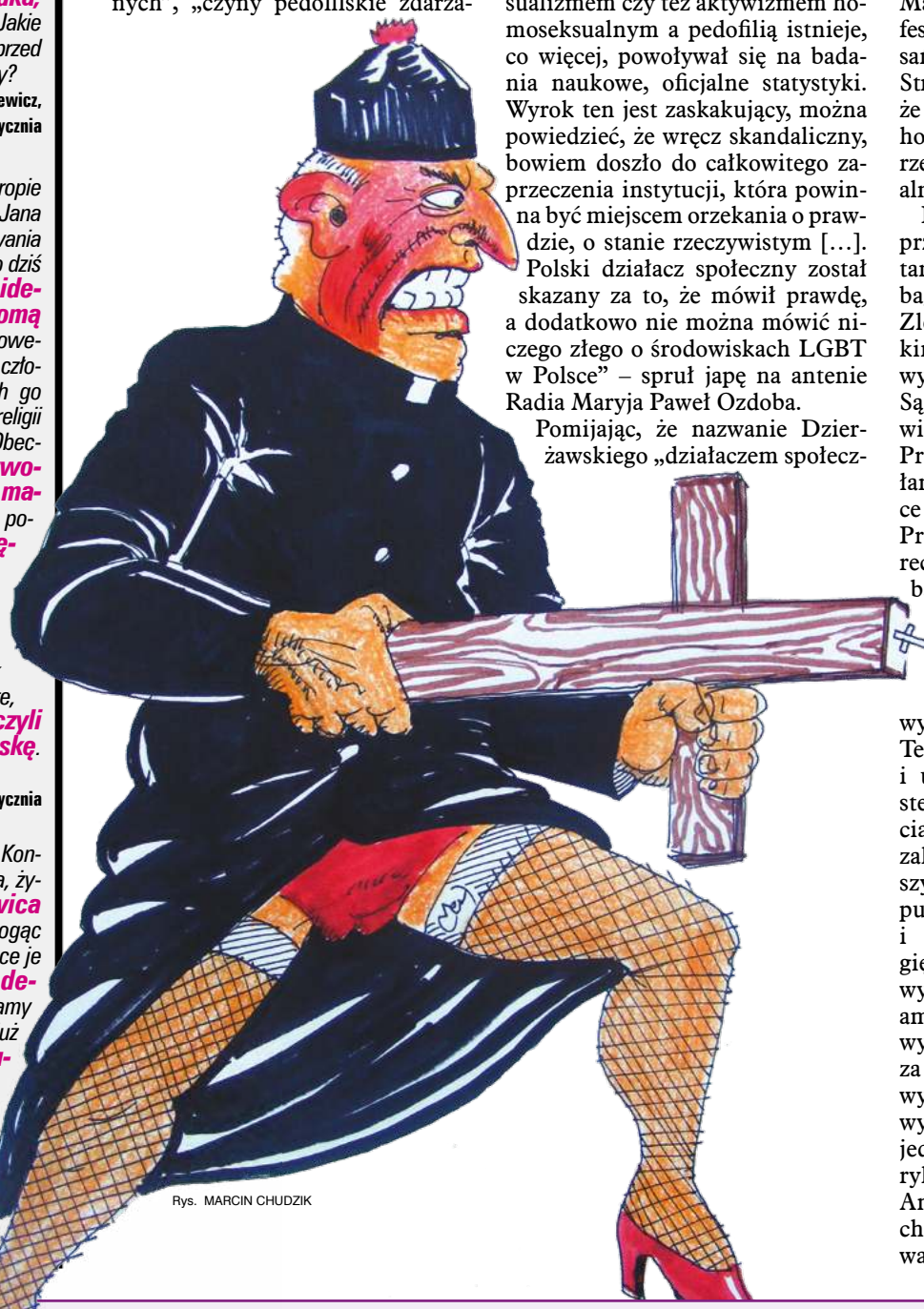

Rys. MARCIN CHUDZIK

Amerykańska odsiecz

W uzasadnieniu wyroku sąd wskazał, że hasła propagowane przez homofobusy oparte były na kłamliwych tezach niepopartych naukowymi badaniami. Sąd posłużył się przy tym raportem Państwowej Komisji do spraw Pedofilii, a także opiniami Polskiego Towarzystwa Seksuologicznego. Pseudonaukowy bełkot, który stał się językiem homofobicznej kampanii, a którego broni własnym cycem Ozdoba, pochodzi ze słynnego już opracowania Marka Regnerusa „cenionego profesora socjologii Uniwersytetu Teksańskiego”. Raport „New Family Structures Study” miał wskazywać, że dzieci wzrastające w rodzinach homoseksualnych rozwijają się gorzej od potomstwa par heteroseksualnych.

Badania zostały sfinansowane przez ultrakonserwatywny think tank Witherspoon Institute niebagatelną kwotą 700 tys. dolarów. Zleceniodawcy zależało na prędkim ukończeniu raportu, by jego wyniki mogły wpłynąć na decyzję Sądu Najwyższego USA w sprawie małżeństw homoseksualnych. Praca ukazała się w lecie 2012 r. na łamach periodyku „Social Science Research” i wywołała skandal. Prędko okazało się, że dwaj z trzech recenzentów byli zatrudnieni przy badaniach jako konsultanci. Przeprowadzony audyt wykazał od diabła z ogonem błędów w samym badaniu. Krytycznie odniósł się do niego macierzysty wydział socjologii Uniwersytetu Teksańskiego. Ponad 200 badaczy i uczonych podpisało się pod listem do redakcji czasopisma „Social Science Research”, w którym zakwestionowali nadzwyczajnie szybki proces recenzji naukowej publikacji jako niekompleksowy i nierygorystyczny, a metodologię badania i interpretację jego wyników spuścili w kiblu. Szereg amerykańskich organizacji naukowych uznało badanie Regnerusa za niedające żadnych podstaw do wyciągania wniosków na temat wychowywania dzieci przez pary jednopłciowe. Były to m.in. Amerykańska Akademia Pediatryczna, Amerykańskie Towarzystwo Psychologiczne czy Amerykańskie Towarzystwo Medyczne.

Dlaczego o tym piszę? Na ten sam raport powoływano się w Chinach i Rosji, żeby przykręcić śrubę, zmieniając sytuację prawną osób i organizacji LGBT. 11 czerwca 2013 r. rosyjski parlament przegłosował, a Putin ochoczo podpisał prawo o zakazie propagandy homoseksualnej. W ślad za tym dekretem w Rosji zaczęły się masowe prześladowania osób nieheteronormatywnych.

Oj, chciałoby się rodzimym katosadystom do raju…

Fortissimo

„Cała ta sytuacja może doprowadzić do pewnego rodzaju cenzury, a nawet dyktatury środowisk lewicowych, liberalnych. Będzie to dyktatura, która zakazuje mówienia prawdy o środowiskach LGBT. Nie damy sobie jako katolicy zakładać kagańców na usta” – zamieniał logikę w pannę lekkich obyczajów Ozdoba.

Pozwolę sobie zabrać przestrzeń do interpretacji: otóż taki chuj, a nie cenzura. Parlament Europejski przyjął 18 stycznia bieżącego roku rezolucję wzywającą Radę, by jeszcze w tej kadencji Parlamentu zajęła się kwestią regulacji przestępstwa, jakim jest mowa nienawiści. Europosłowie zwrócili uwagę, że obecnie kwestie przestępstw popełnianych z nienawiści są regulowane samodzielnie przez państwa członkowskie. Unijne prawo odnosi się zaś jedynie do przestępstw popełnianych ze względu na rasę, kolor skóry, religię oraz pochodzenie narodowe i etniczne.

Według PE dynamika zmian zachodzących na świecie sprawia, że pojawia się coraz więcej grup narażonych na mowę nienawiści. Z tego typu zjawiskiem muszą się mierzyć chociażby osoby należące do społeczności LGBT czy osoby niepełnosprawne.

„Musimy chronić się jako społeczeństwo i ludzi, którzy są atakowani, prześladowani i nękani, oraz odpowiadać na radykalizację i ogromną polaryzację, które są dobrym gruntem dla zachowań naruszających fundamentalne prawa” – powiedziała w uzasadnieniu hiszpańska posłanka sprawozdawczyni Maite Pagazaurtundúa (Odnówmy Europę).

W dokumencie zwrócono uwagę na to, jak ważnym prawem jest wolność wypowiedzi, ale jednocześnie europosłowie stwierdzili, że wolność ta nie może prowadzić do głoszenia nienawiści.

Requiem

„Was wszystkich popierających pedałów i lesby powinno się związać taśmą klejącą, powiesić do góry nogami i przy akompaniamencie pałowania przez policję poderżnąć wam gardła” – napisał na moim fanpage'u dziennikarskim w social mediach prawicowy miłośnik z fejkowego konta. Powiedziałabym, że mam w dupie takie groźby, ale za bardzo szanuję swoje ciało. Komentarz – przez wzgląd na dobro czytelników – usunęłam.

O taki model „wolności słowa” z gębami pełnymi frazesów o cenzurze walczą Dzierżawski, Ordo Iuris, Ozdoba i reszta katolicko-prawicowego zwierzyńca z Kościołem na czele. W ich obronie nie podniosę nawet palca. Żeby dostrzec gówno, nie trzeba go rozbijać na atomy. Podobnie jest z mową nienawiści i wolnością wypowiedzi – różnicę widać gołym okiem.

IDALIA DUBICKA

WIEŚCI Z KRUCHTY

✚ Na szczycie sanktuarium Matki Bożej Ostrobramskiej w Warszawie umieszczono świecący krzyż. Jeden z mieszkańców warszawskiego Grochowa stwierdził, że natężenie światła z ledowego krucyfiksu jest zbyt intensywne, i złożył zawiadomienie do Powiatowego Inspektoratu Nadzoru Budowlanego. Skutkiem zbiegu tych okoliczności proboszcz musi zlecić ekspertyzę, aby udowodnić, że natężenie światła jest prawidłowe. Sprawę w mediach skomentował wikary parafii będącej stroną sporu o świecący krzyż. Jak stwierdził, „krzyż przeszkadza temu, kogo gryzie sumienie”.

✚ Ksiądz Mateusz, wikariusz w parafii św. św. Piotra i Pawła w Kaliszu, na długo zapamięta tegoroczną kolędę. W czasie jednej z wizyt duszpasterskich utknął u parafianki na cztery godziny. Powodem przydługiej posługi okazała się awaria zamka w drzwiach. Jak przekazał za pomocą social mediów ksiądz, zanim ślusarze uporali się z przeszkodą, spędził z parafianką czas na piciu herbaty i rozmowie. Czasem wystarczy naoliwić, proszę księdza.

✚ Dzieci z niepełnosprawnościami intelektualnymi z prowadzonego przez siostry elżbietanki domu pomocy społecznej w Kamieniu Krajeńskim na kolanach szorowały podłogę i sprzątały lokalny kościół. Wszystko nagrała kamera do transmisji mszy świętych. Sprawę nieprawidłowości w DPS bada prokuratura, jak się okazuje, nie tę jedną. Kolejne śledztwo toczy się w sprawie maltretowania psychicznego i fizycznego podopiecznych placówki. Przemocy miała się dopuszczać siostra Tobiasza, wieloletnia pracownica DPS-u. Kobieta po przesłuchaniu przez prokuraturę została zwolniona z pracy i przeniesiona. Miejsca jej pobytu nie znają ani śledczy, ani proboszcz lokalnej parafii.

✚ Ksiądz Mariusz Żaba, proboszcz parafii św. Stanisława Kostki w Limanowej Sowlinach zakazał wolontariuszom Wielkiej Orkiestry Świątecznej Pomocy zbierania datków na terenie kościoła. Swoją decyzję parafia tłumaczy protestem przeciwko rzekomej profanacji i prowokacji, której miała się dopuścić fundacja Jerzego Owsiaka za sprawą aukcji, której przedmiotem był obraz Matki Boskiej Kermitowskiej w 2021 r. Parafia jest zdania, że „akceptacja tego rodzaju fantów na licytacjach WOŚP jest wyrazem braku szacunku dla uczuć religijnych”. Koń by się uśmiał…

✚ Jak donoszą media, były pallotyn ks. Łukasz Prausa, który w grudniu 2021 r. został suspendowany, nie tylko odprawia msze święte, ale i uzdrawia. Nabożeństwa odbywają się w Łodzi, w sanktuarium Świętości Życia. Msze prowadzone przez księdza Łukasza cieszą się tak dużym zainteresowaniem, że trzeba się na nie zapisywać. Na podstawie zebranych świadectw udało się ustalić, że ekskapłan modlitwą załatwił pracę, poranne budzenie wiernego przez ojca Pio, a także wydłużył kończynę (nogę). Dodatkową atrakcją na mszach są stygmaty księdza.

eprasa.pl 5ab4f63b20

Zjadacze wszystkich rozumów

Nie wiadomo dlaczego księża uchodzą za ludzi wykształconych.

Szkolenie księdza trwa sześć lat i odbywa się w seminarium – szkole wyznaniowej traktowanej przez państwo jak szkoła wyższa. W czymś pomiędzy więzieniem a koszarami, z tą różnicą, że można w każdej chwili wyjść. Seminaria nie są płatne. Łóżko i wyżerkę też alumn ma za darmo, a na dodatek absolwenci dostają papiery równe studiom magisterskim. Wyższe wykształcenie dostaje się tam za sześcioletnią przerwę w korzystaniu z myślenia. Jedynym, czego seminarium wymaga od przyszłych klechów, jest bezkrytyczne zapamiętywanie i ślepe posłuszeństwo. A sam program nauczania to bajka.

Teologia ogłupienia

Jak się można domyślać, królową nauk w seminarium jest teologia. Ale żeby było poważniej, nazywana teologią dogmatyczną. Specjalnie podzieloną na kilka innych teologii, aby kleryk każdą mógł wkuwać choć jeden semestr.

Z protologii dowie się, że na początku był chaos, do którego Bóg dorobił resztę. Ale żeby nie gryzło się to za bardzo z teorią Wielkiego Wybuchu, zakrzywieniem czasoprzestrzeni tudzież fizyką kwantową, wszystko jest podlane sosem symboliki. Zdaniem ekspertów przedmiot ten jest mistrzowską manipulacją, która w połączeniu z wymuszonym brakiem krytycyzmu kleryków pierze mózg idealnie.

Chrystologia to kolejna teologia. No i fundament chrześcijaństwa. Alumn ma zapamiętać, że Jezus jako osoba boska był od zawsze, ale około roku 0 urodził się jako człowiek. Potem zaś, będąc nieśmiertelnym Bogiem-człowiekiem, umarł po to, żeby zmartwychwstać. Jasne i logiczne?

Kolejnym boskim wcieleniem, tyle że duchowym, zajmuje się pneumatologia poświęcona Duchowi Świętemu. Przez wiele miesięcy przyszli księżą uczą się więc o relacjach Ducha Św. z Bogiem i Jezusem, którzy przecież są z nim jednością. Klerycy zgłębiają nawet głębię własnej osobowości Ducha Św.

O łasce naucza adeptów chodzenia w sutannie charytologia. Chodzi w niej o to, że łaska „ustanawia synostwo Boże w człowieku i sprowadza nań udział w Duchu Świętym we właściwej Jezusowi relacji z ojcem". Jasne?

Następną dziedziną teologii dogmatycznej jest eklezjologia. „Zmierza do uzasadnienia wiarygodności zbawczego objawienia Boga w Jezusie Chrystusie oraz jego uobecnienia w tajemnicy Kościoła. Eklezjologia w sposób racjonalny i krytyczny podejmuje kwestię prawdziwości Kościoła w odniesieniu do faktu Chrystusa. Odpowiada na pytanie o pochodzenie Kościoła od Chrystusa oraz o witalną i permanentną relację między zmartwychwstałym Chrystusem a Kościołem" – to cytat z wykładowcy szkoły dla księży opisującego ten przedmiot w internecie.

Taki zabieg stylistyczny polegający na ukryciu braku jakiegokolwiek sensu za brzmiącymi mądrze słowami jest jednym z koronnych elementów każdej manipulacji słownej. Wykładowcy seminaryjni doskonale zdają sobie z tego sprawę.

Teologia katolicka nie może się obyć bez mariologii, „nauki" o dziewictwie mimo poczęcia. I nic to, że w dawnych przekładach Ewangelii stoi, że Maria urodziła jeszcze Jezusowi rodzeństwo. Sakramentologia z kolei przez kilka miesięcy udowadnia klerykom, że bez wody święconej i opłatka człowiek przed śmiercią i po śmierci będzie miał źle. Eschatologia, opowiadając o śmierci i końcu świata, tłumaczy, jak to jest w niebie, piekle i czyśćcu.

Jest też teologia o nazwie trynitologia. Zajmuje się w sposób „naukowy" Trójcą. Czyli tym, że trzech może być jednym, a równocześnie – każdy czymś osobnym.

Teologia duchowości przez trzy lata uczy przyszłego księdza się modlić. Na pierwszym roku celem wykładów jest „wprowadzenie w modlitwę chrześcijańską, a także w podstawy katolickiej teologii duchowości". Na drugim roku „wprowadzenie w podstawy antropologiczne i teologiczne teologii duchowości". A na trzecim „wprowadzenie w mistykę chrześcijańską".

In vitro, aborcja, eutanazja, samobójstwo, uzależnienia i prawo do obrony koniecznej to – zdawać by się mogło – pojęcia związane z etyką. Ale nie w seminarium. To wszystko to teologia moralna.

Bo w seminarium wszystko jest teologią. Dlatego ucząc kleryków o podstawowej komórce społecznej, nadaje się temu nazwę teologia rodziny i naucza się o tym, że rodzina służy do płodzenia przyszłych ministrantów i zakonnic.

Jak sama nazwa wskazuje, teologia pastoralna szkoli w obsłudze interesantów w kancelarii parafialnej, tego, jak się chodzi po kolędzie, i innych procedur bycia księdzem. Nikt się chyba nie zdziwi, że teologia mediów jest kursem katolickiego public relations. Czyli wykorzystywania mediów i dobrego w nich wypadania.

Zwieńczeniem kursu teologicznego jest teologia biblijna i chyba nie jest to zastanawianie się, za co właściwie Bóg ukarał Onana…

Świeckość seminaryjna

W seminariach – oczywiście – są przedmioty pozwalające klerykom wierzyć, że studiują. Taka sama jak gdzie indziej jest logika. Wynikająca z logiki ogólna metodologia nauk też jest. Nawet wychowanie fizyczne, dzięki któremu seminarzyści mogą pooglądać w przebieralni obnażone ciała kolegów, no i pozbyć się nieco energii.

A że przyszły ksiądz musi dogadać się z przełożonymi w Watykanie, winien znać łacinę i grekę oraz któryś z języków współczesnych… Na tym kończy się lista przedmiotów świeckich.

Jakaś inna niż w uczelniach niekościelnych jest filozofia. Na dodatek rozbita na trzy przedmioty. Historia filozofii nie tyle pozwala poznać klerykowi wszystkie nurty tej nauki, ile ma mu wytłumaczyć, że filozofowie się mylą. Z wyjątkiem prawdy napisanej przez ojców Kościoła.

Antropologia filozoficzna objaśnia kandydatowi na księdza „człowieka w kontekście natury". Chodzi w tym o to, aby jedynym wnioskiem wynikającym z myśli Hegla, Heideggera czy Platona było, że „człowiek jest syntezą świata duchowego i świata materialnego. Jako taki jest obiektem twórczego działania Boga. W nim Bóg wyraził swój obraz i swoje podobieństwo".

Do tego dochodzi filozofia Boga. Ma nauczyć przyszłych proboszczów, jak udzielać wiernym odpowiedzi na pytania o istnienie i naturę Boga. Czyli jak walczyć ze złem ateizmu, agnostycyzmu lub deizmu.

Kanoniczni emitenci głosu

Biblię seminarzyści wałkują na przedmiotach o wdzięcznych nazwach: egzegeza Starego Testamentu i egzegeza Nowego Testamentu. Bez szczególnej atencji w takich kwestiach jak Sodoma i Gomora i piersi w „Pieśni nad pieśniami", za to ze szczególnym naciskiem na Apokalipsę oraz epistolografię adresowaną do synów i cór Koryntu.

Po lekturze Pisma Świętego na kleryków czeka patrologia ubogacająca wiedzę bogactwem przemyśleń tzw. ojców Kościoła. Jak choćby św. Augustyna, uważającego, że „kobieta jest istotą pośledną, która nie została stworzona na obraz i podobieństwo Boga. To naturalny porządek rzeczy, że kobieta ma służyć mężczyźnie".

Historia Kościoła zapozna przyszłych księży, ile to zła Kościół Boży wycierpiał od heretyków i pogan. Religiologia zaś nauczy ich, czym buddysta i szyita różni się od animisty. I – oczywiście – dlaczego się mylą. Potem kleryk liźnie nieco socjologii, ekonomii i politologii w ramach katolickiej nauki społecznej. Prawo kanoniczne nauczy adepta proboszczostwa, kto w Kościele jest ważny i jak namawiać owieczki do wydania kilkunastu tysięcy złotych na „unieważnienie małżeństwa".

W programie seminarium są też przedmioty stricte zawodowe. Dydaktyka uczy uczyć religii i manipulować wiernymi. Pedagogika przygotowuje do kontaktów z nieletnimi, a rozbita na kilka semestrów katechetyka nauczy przyszłego klechę skutecznego prania mózgów za pomocą odpowiednich socjotechnik i psychomanipulacji.

Dzięki przedmiotowi o nazwie liturgika klerycy zakują wszystkie obrzędy i ich choreografię, niezbędną przecież do umiejętnego nalewania wina i łamania opłatka.

Prawo oświatowe, zdawałoby się, przecież jest świeckie. Ale ksiądz musi je znać, żeby wiedzieć, że katecheta w szkole jest ważniejszy od dyrektora i dlaczego.

Historia sztuki pozwoli klesze zorientować się, czy urządza mszę w kościele barokowym, czy może neogotyckim.

Nader istotna dla adeptów koloratki jest misjologia. Kleryków mamy wciąż jeszcze o wiele za wielu jak na liczbę probostw i długość życia proboszczów. Dlatego, żeby mieć robotę, mnóstwo księży będzie musiało wybrać emigrację.

Homiletyka nauczy kleryka pisać kazania. Współczesne zagadnienia duszpasterskie zapoznają ich z wiedzą o sektach, konieczności tolerowania świeckich w Kościele i odprawianiu mszy dla osadzonych lub niepełnosprawnych. Ponieważ przydać się do tego mogą umiejętności wokalne, to klerycy uczą się śpiewać na zajęciach z emisji głosu, fonetyki pastoralnej i muzyki kościelnej.

Do czego po szkole o takim programie nadaje się absolwent na dzisiejszym rynku pracy? Do niczego otóż. Goście zrzucający koloratkę są przez pracodawców traktowani jak ludzie z maturą ogólniaka, czyli nic nieumiejący. Jedyna działka, w której mogą więc zrobić karierę, to polityka.

TADEUSZ JASIŃSKI

Gdzie oni są?

W tym roku akademickim w seminariach rozpoczęło naukę 280 mężczyzn. Łącznie we wszystkich szkołach zawodowych dla duchownych do bycia księdzem przygotowuje się 1690 alumnów.

W roku 2022 do seminariów poszło 329 kandydatów na księży, w 2021 r. – 356, w 2020 r. – 438, a w 2019 – 498.

W ciągu zaledwie pięciu lat liczba kleryków w seminariach w Polsce zmniejszyła się o tysiąc – z ponad 3 tys. do niespełna 2 tys. A jeszcze w 2000 r. w polskich seminariach do kapłaństwa przygotowywało się 6789 kleryków. Od tej chwili ich liczba leci na pysk (patrz infografika).

Od kilku lat z powodu zmniejszania się liczby kandydatów do bycia klechą dochodzi więc do łączenia seminariów duchownych. Klerycy ze Świdnicy i Legnicy w roku akademickim 2022/2023 przeszli do seminarium we Wrocławiu, a alumni z Bydgoszczy wraz z klerykami z Kalisza i Gniezna – do Poznania. Klerycy z Łowicza przenieśli się do Warszawy. W Krakowie uczą się alumni z diecezji bielsko-żywieckiej, w Częstochowie – klerycy z diecezji sosnowieckiej, a w Opolu – z diecezji gliwickiej.

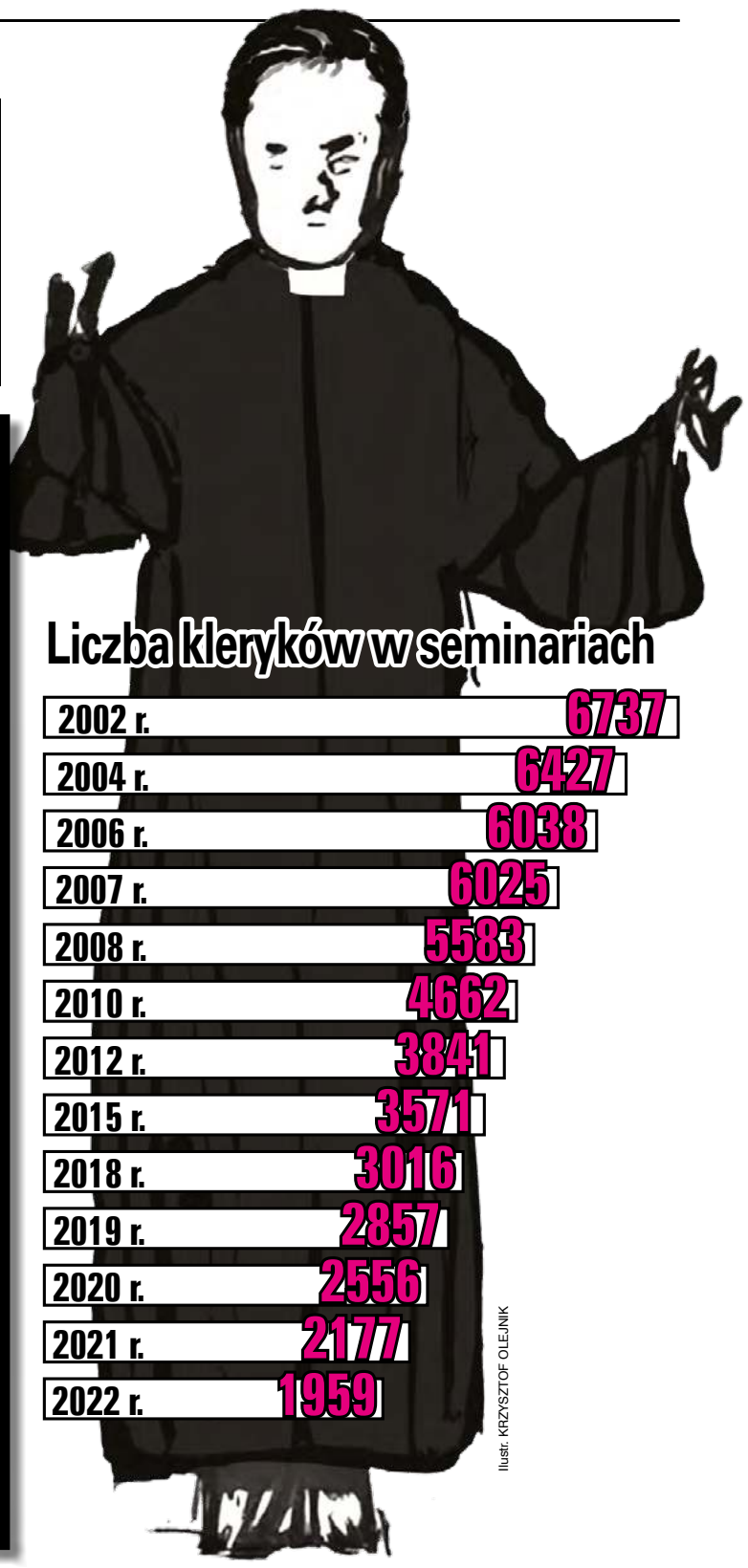

Ilustr. KRZYSZTOF OLEJNIK

Rys. MARCIN CHUDZIK

✚ Stanisław Ś., ksiądz katecheta z Częstochowy, współżył z uczennicami, nagrywał pornografię, a ofiary raczył alkoholem. W środę 24 stycznia zapadł nieprawomocny wyrok w sprawie jurnego duchownego. Sąd uznał za dowiedzione, że w styczniu 2021 r. ksiądz prezentował kilkukrotnie treści pornograficzne małoletniej nastolatce o imieniu Kinga. Za pośrednictwem komunikatorów internetowych wysyłał jej zdjęcia swojego członka i namawiał, by dziewczynka przysłała mu fotografie swojego nagiego ciała i miejsc intymnych. Kiedy nastolatka skończyła 15 lat, zaczął inicjować stosunki oralne. Stanisław Ś. za kratami spędzi cztery lata i dwa miesiące.

KLECHA

Wiadomości na pożytek owieczek i pasterzy czerpiemy z prasy lokalnej.

eprasa.pl 5ab4f63b20

Holenderskie kadzidło prymasa

Importowana pomoc polskiemu Kościołowi.

Rys. TOMASZ WIATER

„Swąd szatana dostaje się do wnętrza Kościoła i ma to swoje konkretne konsekwencje" – powiedział w Collegium Bobolanum Akademii Katolickiej w Warszawie przybyły przed kilku dniami do Polski prymas Niderlandów, kard. Willem Jacobus Eijk, mając na myśli sekularyzację i przemiany kulturowe. Natychmiast zwabił mnie do śledzenia swojej wizyty w kraju nad Wisłą.

Jezus i wiatraki

Oto stojąca na skraju bankructwa moralnego i głębokiego nieurodzaju popytu na tanie misteria instytucja z uporem przydrożnej handlary prezentuje swoje wdzięki, obwiniając o niepowodzenie w biznesie brzydką pogodę i kiepskie gusta potencjalnych klientów, a do pomocy w ogarnięciu burdelu wzywa szefa – nasunęło mi się frywolnie na myśl, kiedy dowiedziałam się o gościnnych występach holenderskiego prymasa. Bo kardynał (do tego bioetyk medyczny i teolog moralny) Willem Eijk jest jak karykaturalny biznesmen (dosłownie, bo przy okazji reklamował swoją najnowszą książkę), który przemieli półprawdy w dziurawych zębach, klepnie w tyłek i powie, że będzie dobrze, że interes jeszcze pociągnie. Kościół katolicki nie przestaje zatem zaskakiwać oryginalnym podejściem do oszczędzania i recyklingu. Bo jeśli rodzimi obmyjchryści wzywają na pokrzepienie serc zagranicznego ojczenaszoklepa z kraju, w którym po katolicyzmie zostały smród i wspomnienie, to znaczy, że zamiast pokornie zwijać interes, będą szyć z zeżartych przez mole resztek.

Mało co tak zbliża jak wspólne doświadczenia – z takiego, jak mniemam, założenia musieli wyjść hierarchowie polskiego Kościoła, organizując tegoroczny festiwal prelekcji niderlandzkiego kaznodziei, w tym pierwszy raz w toruńskiej rozgłośni pewnego redemptorysty. Z historycznego punktu widzenia zaszła tym samym ciekawa koincydencja. Jeszcze kilkanaście lat temu nie mogło być większego kontrastu religijnego pejzażu niż ten między Polską a Holandią. Gdy przy wjeździe do Polski zagranicznych gości witał 33-metrowy Chrystus, Holendrzy adaptowali kościoły na lokale użyteczności publicznej. Co więcej, kościoły, których nie było z czego utrzymać, wyburzano! Polski purpurat mógł wtedy patrzeć na wiatracznego klechę z góry, a w myślach nawet napluć mu na buty.

Dziś jednak, gdy na fasadzie polskiego państwa wyznaniowego rysy zaczęły przechodzić w pęknięcia, a zapach kadzidła w smród, międzynarodowi bracia w wierze i krzywdzie sekularyzacji padli sobie w ramiona. Z tym większą ciekawością wysłuchałam w ulubionej Telewizji Trwam ojca Rydzyka, co też Willem Eijk ma do powiedzenia. I paradoksalnie, choć nie było to jego intencją, kardynał utwierdził mnie w przekonaniu, że Polska nie tylko jest na dobrym kursie wspomnianej sekularyzacji, ale zaczyna nabierać prędkości.

A na paskudnym z chrześcijańskiego punktu widzenia kłamstwie złapałam go w pierwszych minutach wywiadu.

Tulipanowa zagłada

Odpuszczę sobie wulgarne stwierdzenie, że prowadzący program „Rozmowy niedokończone" ojczulek Witold Hetnar polerował kardynalskie ego do połysku, ale nie będzie przesadą powiedzieć, że gdyby spersonifikować czołobitne pochwały wobec gościa, spokojnie zaludniłyby małą wioskę pod Radomiem. Niemniej gospodarz dosyć prędko dopchał barkę do brzegu. Jak słusznie zauważył, „Holandia przez długi czas słynęła jako kraj ogromnie katolicki, a większość misjonarzy na świecie to byli misjonarze holenderscy, którzy ewangelizowali krańce świata niemalże wszystkich kontynentów", po czym zdobył się na nieśmiałe pytanie, które z grubsza sprowadzało się do tego, w czym należy upatrywać przyczyny zmiany tego stanu rzeczy. Diagnoza klechy z importu wzbudziła moją wesołość i pozwoliła nabrać pewności, że katolickie pomówienie nie zna granic, a pycha nie ma hamulców.

Według metropolity Utrechtu kryzys nastąpił zaraz po II wojnie światowej, kiedy więzi wiernych z Kościołem w mniejszym stopniu opierały się na treściach wiary, a bardziej na powiązaniach społecznych: jeśli zostałeś ochrzczony w Kościele katolickim, to chodziłeś do katolickiej szkoły, będąc pracownikiem, należałeś do katolickiego związku zawodowego. Centralne prawdy chrześcijaństwa pozostawały dla wiernych na tyle abstrakcyjne i niemożliwe do przełożenia na życie codzienne, że katolicyzm zaczął ograniczać się do relacji stadnych.

Kolejną według kardynała zmianę Kościół w Holandii przeszedł na początku lat 60. ubiegłego wieku. Rosły wtedy płace i wynagrodzenia, ludzie stali się zamożni i zyskali możliwość niezależności. „Więzi społeczne nie były już tak ważne, dlatego jedyne, co łączyło ludzi z Kościołem, odeszło w niepamięć" – wyjmował bioetyk, teolog moralny, kardynał z mózgu śledzie, które miały zacumować ponury koncept w rzeczywistości.

Jak to mówią, jest prawda, półprawda i gówno prawda. Wywód Eijka plasuje się gdzieś pomiędzy dwiema ostatnimi z przechyłem na fekalną wersję.

Otwórzcie, a będziecie pukani

Wbrew kardynalskiemu bełkotowi przyczyna rozpadu Kościoła w Holandii jest stara jak przepis na makowiec, a jej dokładne odzwierciedlenie ujrzało światło dziennie w grudniu 2011 r., kiedy opinia publiczna poznała ponad 1000-stronicowy raport komisji badającej na zlecenie episkopatu skalę molestowania seksualnego w katolickich szkołach, internatach i seminariach po 1945 r.

Jak się okazało, w latach 1945–1981 ucierpieć miało od 10 do 20 tys. dzieci. Udokumentowano, że w tym czasie w kościelnych instytucjach dochodziło do nadużyć od przypadków molestowania seksualnego wychowanków przez terror duchowy, bicie aż po gwałty.

Komisja, na której czele stał Wim Deetman, chadecki polityk, były minister kultury i były burmistrz Hagi, przestudiowała 1,8 tys. skarg. Po ponad roku pracy jej członkowie oświadczyli, że w przestępstwa na tle seksualnym było zaangażowanych blisko 800 księży, duchownych i pracowników Kościoła. Liczby te robią wrażenie, jeśli wziąć pod uwagę, że zaludnienie Holandii w 2009 r. wynosiło 16,5 mln dusz, a ze względu na rozpiętość czasową raport komisji to zapewne tylko czubek góry lodowej. Warto wspomnieć, że przez ten czas władze kościelne robiły, co mogły, żeby uniknąć skandalu. Ofiary holenderskich duchownych przerwały milczenie po 2010 r., kiedy podobne procesy demaskujące kościelną pedofilię ruszyły w Irlandii, Belgii, Austrii czy USA.

Kiedy komisja Deetmana opublikowała dokument, arcybiskup Utrechtu Willem Eijk w imieniu holenderskiego duchowieństwa „wyraził ubolewanie z powodu tych nadużyć". Żeby zetrzeć z siebie choć trochę obyczajowego łajna, biskupi w Holandii, wzorem tych z USA czy Irlandii, zdecydowali o założeniu liczącego 5 mln euro funduszu na rzecz finansowych rekompensat dla ofiar. O tym już Eijk w Telewizji Trwam nie wspomniał. Chwalił się natomiast, jak odbudowuje katolickie Bizancjum na zgliszczach, a polski klechistan spijał krzywe prawdy z jego ust.

Śliwka z kompotu

Duchowny wskazał, iż holenderscy księża wyznają zasadę kreatywnej mniejszości, która ma szansę odpowiedzieć na aktualne potrzeby Kościoła i być – ha! – ziarnem kultury. „To jest idea, koncepcja wywodząca się od papieża Benedykta XVI, a on przejął ją od filozofa społeczeństwa angielskiego. On studiował powstanie i upadek ponad 20 kultur i odkrył to, że na wzrost społeczności ma wpływ kreatywna mniejszość. Mamy małe grupy chrześcijan i oni nie poddają się wpływowi kultury, a więc potrafią myśleć we własny sposób i nie postępować za opiniami większości. Te małe grupy stają się coraz silniejsze z roku na rok, a więc jestem pełen nadziei. Mimo iż kultura hiperindywidualizmu pozostaje silna, w pewnym momencie dojdzie do kresu. Ważne jest, aby katolicka mniejszość była na to przygotowana" – wyjaśnił Eijk. Dowcipniś.

Wraz z postępującym uwiądem polskiej katoprawicy i sukcesywnym odstawianiem od społecznego cycka samego Kościoła na miejscu krajowego duchowieństwa nie łykałabym nawet z grzeczności dyrdymałów kolegi kardynała. Pomijając, jak bardzo te prognozy rozśmieszają żarliwym zaangażowaniem i trącą farmazonem, polscy kapłani, zamiast tracić czas na fałszywą wiarę w odrodzenie dawnej potęgi, powinni albo zacząć przybijać gwoździami dywany na plebaniach, albo szacować wysokość funduszu dla polskich ofiar. Nauka, którą powinni wyciągnąć z holenderskiej opowieści, nie leży w szczęśliwym dla nich zakończeniu.

Trupy z szaf katolickich instytucji wypadają jeden po drugim, a wiele wskazuje na to, że pomyślne wiatry zmian proces ten tylko przyśpieszą.

IDALIA DUBICKA

Defloracja gorsza niż śmierć

czyli społeczne skutki nauczania Kościoła

Choć wydawałoby się, że poluzowana na przestrzeni lat szeroko pojęta obyczajność wyprowadziła społeczeństwo z seksualnych mroków, miazmat kościelnego mitu czystości przedmałżeńskiej wciąż zbiera żniwo. Obsesyjna rodzicielska panika przed hańbą zbrzuchaconej córki wykształciła nowe zjawisko psychospołeczne: obsesję nastoletniej ciąży, która dotyka coraz więcej dorosłych kobiet. A to dopiero preludium problemów.

Kult hymenu

Jest takie powiedzenie, że jak masz syna, to pilnujesz syna, a jeśli masz córkę, to pilnujesz całego osiedla. Umówmy się, że idzie nie tylko o honor nastoletniej panienki, lecz o z wielu względów problematyczny bagaż, który skutkiem utraty niewinności może ona przywlec w macicy. Bękart, bo o nim mowa, to stygmat, który nijak się ma do krzewionej przez polityków i hierarchów Kościoła troski o przyrost naturalny. Uplasowany w katolickim rankingu poczętych oczko wyżej od płodów wyhodowanych na laboratoryjnym szkiełku, ale za to ze znacznie dłuższą tradycją dewaluacji swojego człowieczeństwa, wciąż święci honory bycia powodem do wstydu, a nie radości z narodzin nowego życia. Symbol młodocianej przedmałżeńskiej rozpusty lub, jak kto woli, dawania dupy ma długie i bolesne portfolio bycia jebanym zarówno przez Kościół, jak i społeczeństwo. Naturalnie, jak to w chrześcijańskich stadłach bywa, jedno wynikało bezpośrednio z drugiego.

Kult hymenu, cienkiego i elastycznego fałdu błony śluzowej, który ogranicza wejście do pochwy, to przykra spuścizna najstarszego z czterech dogmatów, które mówią o Matce Bożej. Przywilej dziewictwa Maryi jest ściśle związany z jej boskim macierzyństwem i świętością. Dziewictwo Maryi było zachowane dla narodzin Chrystusa i jego zbawczej sprawy. W praktyce patriarchat wykorzystał kawał tkanki do przeprowadzania inspekcji przebiegu damskiego krocza. Z czasem wypraco-

eprasa.pl 5ab4f63b20

Córka Króla Królów

Cała kultura Europy jest w fatalnej kondycji.

„Córka Króla Królów” brzmi trochę jak tytuł powieści fantasy. Odpowiednio infantylny i zniechęcający dla myślącej części ludzkości. Ale to tylko tytuł, owszem, choć nie powieści, lecz kobiety. Kobiety, która miała się za pisarkę, ale i za… No, właśnie. Grunt to mieć naprzewracane w dupie, nawet jeśli w głowie naprzewracał ci Bóg.

Tatusiów dwóch

„Dziś rano Pan Bóg wezwał do siebie moją córkę, Magdę Wołochowicz. Była wspaniałą i pełną miłości córką, siostrą i ciocią. Kochała Pismo Święte i codziennie z niego czerpała. Żyła w tożsamości Córki Króla Królów. Przez całe swe ziemskie życie wiernie służyła Bogu i ludziom […]. To jest największa radość dla mnie, jako ojca, że moje dziecko całe swoje życie miało głęboką relację z Bogiem i żyło w Jego bliskości” – to nekrolog, który dopiero co przeleciał przez wszystkie najbardziej popularne polskie portale. Nie ominął nawet Pomponika! Rzeczony nekrolog podyktował ojciec, a skoro Wołochowicz była Córką Króla Królów, co – jak się zdaje – jest synonimem imienia Boga, to w sumie nekrolog ten powinien być jeszcze szerzej rozpowszechniany, bo oto mamy spotkania trzeciego stopnia z krzakiem gorejącym, czyli Bogiem. Nie? Nie mamy? Wołochowicz miała tatusia ludzkiego, tego od pogrzebowego info, i Tatusia Tam Na Górze. Szczęściara! W dodatku tylu chciała tym szczęściem obdarować…

Zastanawiamy się, czy tata ziemski sypnął groszem w internecie (mógł przyjść i do nas – za forsę zamieścilibyśmy nawet nekrolog biskupa Marka Jędraszewskiego), czy rzeczywiście Magda Wołochowicz była tak popularna. Ponoć była autorką słynnego projektu „Żyj pełnią życia”, tylko że bidulka zmarła. Inna sprawa – umrzeć dla katola to wrócić do domu! I uczciwie należy przyznać, że biologiczny tata vlogerki trzyma się tej tradycji. Płakać na pępkowym, radować się na pogrzebie. Tyle że po jaką cholerę było próbować się leczyć z raka, bo na taką przypadłość zmarła kobieta? Trzeba było położyć się z różańcem i aspiryną i czekać, aż przyjdą anieli i poprowadzą do raju…

Ambasadorka Jezusa

Na pogrzebie – 26 stycznia – nie było kwiatów. Kasą, zamiast na kwiaty, szła na Fundację Żyj Pełnią Życia. „Aby błogosławić i kontynuować dzieło, które ona rozpoczęła”. Ciekawe, czy kasę odziedziczy tatuś ziemski czy Tatuś Niebiański w postaci swoich sukienkowych.

Magdalena Wołochowicz (1486 obserwujących na Instagramie i 644 znajomych na FB) „napisała sześć książek […]. Przez ponad 4 lata co tydzień publikowała nowy odcinek na vlogu, poza tym tworzyła Mailowe Studium Biblijne, kursy dla kobiet, wpisy na blogu. Wielokrotnie była zapraszana, jako mówca, na konferencje i spotkania” – to wciąż materiały tatusia z prąciem i spermą. Mailowe Studium Biblijne? Ech, gdybyśmy wiedzieli wcześniej, to nasłalibyśmy nań naszego najlepszego szpiona od świętojebliwych pojebów i pojebanych kursów świętojebliwych pojebów, czyli redaktor Idalię Dubicką. Cóż, spóźniliśmy się… Czy jednak naprawdę? A może… Córka Króla Królów zmartwychwstanie czy raczej Zmartwychwstanie, bo że kiedyś tam zmartwychwstanie przez małe z, to żadna nowina. Świat się zmienia, idzie do przodu, nowoczesność, równouprawnienie, powinna jakaś babka Zmartwychwstać, prawda? Serial od razu byłby na Netflixie. Polacy by zrobili, byłby numer jeden na świecie jak „365 dni”…

Rys. TOMASZ WIATER

„Tak mi niezmiernie przykro z powodu straty Magdy! Ona naprawdę była światłem Pana i ambasadorem Jezusa wśród nas”. „Przykro nam. Niech jej rozpoczęte dzieło Bóg błogosławi!”. „Wspaniała, serdeczna koleżanka” – jak widać po komentarzach, ludzie jednak uważają, że umieranie to kicha jest. Nawet katolicy!

Rodzina podatkiem wspierana

Co ciekawe, tata Magdy, jak i sama Magda W., lubili sobie przypomnieć nawzajem o śmierci żony i mamy. Taki styl, jak rozumiemy. Mama, sądząc po zdjęciach, była bardzo uduchowiona. „10072016 Pan Bóg wezwał do siebie moją Ukochaną Mariolkę. Od 7 lat żyję jako wdowiec. Wciąż za Nią tęsknię. Załączone zdjęcie zostało zrobione 28 maja 2016. Mariolka z pasją wielbi Boga podczas ślubu Irka, naszego najmłodszego syna. 43 dni później stanęła przed Stwórcą twarzą w twarz. A po tym, jak przedwczoraj w gronie ponad 20 000 osób przez 6 godzin wielbiliśmy Boga podczas #chwalaMU, pomyślałem, że Mariolka bierze udział w niebiańskim ChwałaMU bez przerwy!” – napisał Piotr Wołochowicz na Facebooku 10 lipca 2023 r. Bez egzaltacji nie ma kasy…

A z rodziną Wołochowiczów powiązana jest nie tylko Fundacja Żyj Pełnią Życia, ale i inna – Fundacja Misja Służby Rodzinie, która dzielnie przypomina: „Rozliczamy podatki! A skoro tak, to jest możliwość przeznaczenia 1% podatku na nasze działania, do czego z całego serca zachęcamy!”.

„Mądrzy rodzice. Trwałe małżeństwo. Odpowiedzialne i twórcze dzieci” – to takie ich hasło. Dej, dej podatek! Dej! A dokładniej: „Wesprzyj swoim 1% odnowę rodziny według zamysłów Stwórcy”. Czyli jest tak: do niedawna kasę ciągnęli Mariola Wołochowicz, Magda Wołochowicz i Piotr Wołochowicz. Teraz facet zostaje na swoim. Rozumiemy, czemu zainwestował i zadbał o to, żeby Pomponiki pisały o Stwórcach i Córkach. W sumie komu by się chciało pisać książki takie jak „Książeczka zdrowia małżonków” (i nie chodzi o choroby weneryczne) czy „Wierzące dzieci”? Należało docenić.

Cień papieskiej kumpeli

Możliwe, że Piotr Wołochowicz, dyrektor Fundacji Misja Służby Rodzinie (od jej założenia w roku 1992), doktor teologii, autor i mówca,

postanowił zbudować własny model popularności, miksując amerykańską kaznodziejkę z żałobną legendą smoleńską i chowając się za zwiędłym, a teraz martwym i zwiędłym tyłkiem znanej nam wszystkim kumpeli JP2 (a to więcej niż kumpela Boga, jak mniemam) Wandy Półtawskiej.

Z demonicą Półtawską Wołochowiczowie kumplowali się od czasu, kiedy zjebano ich wypociny: „W roku 1993 ukazała się książka »Zanim wybierzesz… Przygotowanie do życia w rodzinie«, której my z Mariolą byliśmy współautorami, dr Półtawska wzięła nas w obronę przed brutalnym atakiem »GW« – napisała list otwarty do A. Michnika »Cui bono?«”.

Czy aby to nie im zawdzięczamy „zapieczętowane źródło życia” jako synonim piczki? „Córka Króla Królów” udowadnia, że w synonimach są dobrzy. Mija 30 lat i trzy trupki do spieniężenia, że nie wspomnę o aborcyjnych wyskrobkach, których zawsze u takich świeckich kanodziei pełno… Ale to jednak niezłe, żeby Radio Zet, Onet, Pomponik, „Party”, „Fakt”, „Super Express”, Radio Warszawa, Goniec.pl i co pomniejsze media napierdalały o śmierci i pogrzebie owej „znanej vlogerki i pisarki” („Chwilowo panna” czy „Kobieta Pełna Bożego Życia”)… Napierdalały o śmierci nawiedzonej katolki, kiedy zapominają poinformować o zgonie kogoś naprawdę istotnego dla kultury, choćby nawet pop, nie mówiąc już o tym, że zapominają dodać, że gdzieś jebnęło trzęsienie ziemi. Cóż, życie. Umarła Córka Króla Królów, napisaliśmy więc i my, tygodnik „NIE”.

„Cała kultura Europy jest w fatalnej kondycji. 50 lat komunizmu zrobiło swoje” – powiedziała w swoim ostatnim wywiadzie dla tygodnika „Sieci” (2020 r.) Wanda Półtawska. Nie wypada nam zrobić niczego innego jak zgodzić się z pierwszą połową: cała kultura Europy jest w fatalnej kondycji!

KATARZYNA JABŁOŃSKA-CZYŻ

---

wano cały szereg trików, mających wpędzić małżonka w przeświadczenie, że dziura była nietknięta, więc jeszcze pół biedy, jeśli panieńskie harce skończyły się tylko na defloracji. Gorzej, jeśli efektem tańca na prąciu był rosnący bebech. Głupio konsumować resztki, a i wychowywać cudze nie warto…

Panną byłam, dziecko miałam

Na dawnej wsi, skąd pochodzi lwia część społeczeństwa, urodzenie nieślubnego dziecka było równoznaczne z ostracyzmem społecznym przypominającym nieco prawo szariatu. Zdarzało się, że zapłodniona poza małżeńskim rejestrem pannica dostawała manto, obcinano jej warkocz i obwożono po wsi ku przestrodze, żeby pokazać innym młodocianym niewiastom, czym w praktyce pachnie chuć. Nieszczęsna jawnogrzesznica nie mogła nawet wejść do kościoła na mszę, żeby posłuchać, co do powiedzenia na temat jej rozwiązłości ma ksiądz. Pogarda okazywana pannie z dzieckiem naturalną siłą rzeczy przenosiła się na bękarta zwanego niekiedy najduchem. Każdy mógł takie dziecko popchnąć, zwyzywać i opluć. Częstą praktyką było nadawanie mu prześmiewczego imienia.

Jak to w seksie bywa, korzystali wszyscy, ale do poniesienia konsekwencji chętnych nie było. Stąd piętno bękarta wiązało się z hańbą i biedą. Przykre implikacje młodzieńczej rui zdarzały się także we dworach i miastach, gdzie brzemienność nimfetek skrzętnie ukrywano, a jej owoc wydalano zaraz po rozwiązaniu na wieś, rzucając groszem na wykarmienie dzieciaka i wychowanie go ze stadem gęsi. Wiejskie najduchy, o ile nie padły z głodu, trafiały do miast, gdzie dokonywały żywota w rynsztokach, przepełnionych ochronkach bądź gdzieś na służbie.

Współcześnie widok nastoletniej matki spowszedniał, a jej los, choć wciąż bez wątpienia chujowy, dzięki wsparciu państwa nieco się ucywilizował. Prawo oświatowe nie tylko pozwala dokończyć ciężarnej edukację, ale wymusza na szkole, by wspomagała taką uczennicę; od biedy niechcianego bajtla można oddać do adopcji, nie wspominając o tym, że jeśli okres się spóźnia, a panienka się nie spóźni, ciążę do trzeciego miesiąca można unicestwić przy pomocy kobiecych stowarzyszeń. Niemniej jednak dziecko z dzieckiem jest obiektem podśmiechujek, a do rzadkości należy radość z oczekiwania narodzin wnuka czy wnuczki, kiedy po ojcu i jego alimentacyjnym obowiązku zostały smród i wspomnienie, a matka sama ma mleko pod nosem. Dlatego hasło „tylko nie wróć z brzuchem” rzucane mimochodem przed wyjściem córci na dyskotekę (jakby tylko tam było można zasmakować grzechu, ha!) jest wciąż żywe, a co gorsza, odwieczna rodzicielska paranoja na punkcie potencjalnego zaciążenia latorośli zaczęła wydawać zgoła inne owoce.

Do dupy z tą ciążą

O tym, że w kraju nad Wisłą szkolna edukacja seksualna praktycznie nie istnieje, napisano już setki raportów. Organoleptycznie mógł tego doświadczyć każdy, kto zaliczył bodaj osiem klas podstawówki. Kiedy w 2015 r. Instytut Badań Edukacyjnych na zlecenie Ministerstwa Edukacji Narodowej zapytał rodziców, jaką wiedzę z zakresu seksualności przekazują pociechom, najwięcej wskazań dotyczyło higieny narządów płciowych i wartości rodzinnych. Higiena ważna rzecz, ale (bez rozdrabniania się na szczegóły) nijak ma się do antykoncepcji. Seks wciąż jest tematem tabu pod polskimi strzechami, a pod tymi, gdzie Bóg króluje na ustach, jest jak antysemicki żart: niby coś się słyszało, ale nie wypada powtarzać. Dochodzi więc do kuriozalnych sytuacji, kiedy rodzice zamiast edukować dziecko, jak chronić się przed niechcianą ciążą, wolą straszyć zbrzuchaceniem.

Rys. TOMASZ WIATER

Niekiedy robią to na tyle skutecznie, że dorosłe już kobiety, które mają chęć na potomstwo, odpowiednie ku temu warunki i kochającego partnera u boku, panicznie boją się zajść w ciążę. Ten lęk podyktowany przekonaniami wyniesionymi z domu psychologowie ochrzcili mianem fobii nastoletniej ciąży.

Jak podkreślają specjaliści, kojarzenie seksu nie jako aktu bliskości i przyjemności, a smarkatej konsekwencji w postaci dziecka, które rujnuje przyszłość, może doprowadzić do szeregu lęków, w tym do tzw. tokofobii – panicznego strachu przed ciążą i porodem, który według badań dotyka 10 proc. kobiet. Tokofobia potrafi przyjąć tak ekstremalne stadia, że kobiety pod jej wpływem używają wszystkich dostępnych środków antykoncepcyjnych albo w ogóle rezygnują ze współżycia.

Oczywiście warto rozgraniczyć wspomniane fobie od naturalnie występującego obrzydzenia do dzieci, macierzyństwa i wszystkiego, co z nim związane. Problem pojawia się wtedy, kiedy przez chęć rozpłodu przebija się zakodowana za młodu kara za grzech.

Podskórnie zaimplementowany wstyd z wpadki potrafi zrobić z mózgu jesień średniowiecza również damom, którym wiekiem bliżej do wyjścia z grupy prokreacyjnej. Radosny efekt seksualnej aktywności rodzi szereg niepokojów przyszłej rodzicielki co do postrzegania jej osoby. Wówczas zamiast wybierania śpiochów, imienia i pozostałych dupereli po głowie ciężarnej tłuką się myśli z kategorii tych mniej przyjemnych. Wszyscy się dowiedzą, że stara, a się rucha: „stara a głupia i dała się zapłodnić”, „taka stara i będzie mieć dziecko”, „niby dojrzała, a zachowała się jak nastoletnia gówniara” – brzmi znajomo? Bywa, że poczucie żenady bardziej niż ewentualne przesłanki medyczne ze względu na zaawansowany wiek matki prowadzą do zamiany dzidziusia w wyskrobka.

Arcybiskup Marek Jędraszewski napisał ostatnio na platformie X: „Posiadanie dzieci jest obowiązkiem, niski przyrost naturalny zagraża przyszłości ojczyzny”. Kościół katolicki, który przez dziesięciolecia chętnie batożył rewolucję seksualną, doszedł do ściany. Mówi się, że rewolucja zjada swoje dzieci. Możliwe. Katolicka indoktrynacja swoje wylała z kąpielą.

IDALIA DUBICKA

eprasa.pl 5ab4f63b20

GADMAN

Bzyk ku wolności

Czy laska może już przelecieć swego frędzla?

„Dziwi mnie, że seks jest dla nas takim tabu” – mówił grecki reżyser Yorgos Lanthimos. I dodawał, że „nie mamy problemów, oglądając przemoc na ekranie, a jest problem z oglądaniem seksu”. Mówił to językiem Larry’ego Flynta, twórcy magazynu „Hustler”, który prawo do pokazywania seksu już wcześniej wpisał do katalogu podstawowych praw człowieka.

Bo skoro ludzka kultura, zwłaszcza ta wysoka, podszyta jest miłością człowieka do człowieka, skoro uważa się, że moralne i pożyteczne jest publiczne prezentowanie uczucia miłości, to czemu prezentowanie seksu bywało i nadal jest karalne? Skoro trudno znaleźć miłość spełnioną bez tego skrywanego seksu…

Ale nie dajcie się też zwieść słowom reżysera. Jego film „Biedne istoty” nie zbulwersuje was jedynie śmiałymi scenami seksu. Podobne im znajdziecie pod dostatkiem w innych filmach i przede wszystkim w internecie. Ich oglądanie jedynie dyżurnych moralistów jeszcze zbulwersuje.

Za to ten film skutecznie uświadamia nam, że choć mamy już powszechnie uznawane prawo do oglądania seksu, to prawo do uprawiania seksu nadal jest u nas stosowane selektywne i nierówno.

Anty-Pigmalion

„Biedne istoty” to adaptacja powieści szkockiego pisarza Alasdaira Graya. Luźna, uwspółcześniona, polemizująca. To historia Belli Baxter, kobiety ożywionej przez ekscentrycznego doktora Godwina.

On, podobnie jak powszechnie znany dr Frankenstein, tym razem ożywia wydobyte z rzeki ciało ciężarnej samobójczyni. Udaje mu się to dzięki wszczepieniu w martwe już ciało żywego mózgu pobranego od jeszcze żyjącego w tymże ciele noworodka. Tak tworzy Bellę: dziecko w dorosłym ciele niezwykle powabnej kobiety.

Tworzy też kolejną znaną z oświeceniowych powiastek historię o ludzkiej tabula rasa. Uosobieniu poglądu, że wszelka ludzka wiedza i kultura pochodzą wyłącznie ze zbieranych doświadczeń. Że człowieka tworzą edukacja i przysposobione wzorce kulturalne. Bo umysł ludzki jest niczym niezapisana tablica.

Pojęcie to znamy jeszcze z łacińskich tłumaczeń traktatu Arystotelesa „O duszy”. Ale popularne stało się w wiekach późniejszych, w epokach oświecenia i kontestującego go romantyzmu.

Takimi ówczesnymi tablicami do zapisywania kultury, obyczajów, zdobyczy cywilizacji, zwłaszcza tej białego człowieka, byli przywożeni z kolonii dzikusi. Piętaszek ucywilizowany przez Robinsona Crusoe. Kali wychowywany przez Stasia Tarkowskiego. Także Wolterowski Kandyd.

Wcześniej taką tablicą była mitologiczna Galatea. Posąg kobiety stworzony przez króla Cypru Pigmaliona ożywiony przez Afrodytę. Jego historia inspirowała wielu późniejszych twórców. Sztuka „Pigmalion” napisana przez Bernarda Shawa w 1913 r. nadal jest grana na całym świecie. Doczekała się licznych adaptacji filmowych, wśród nich musicalu „My Fair Lady”. Echem jej jest też powszechnie znany film „Pretty woman” i liczne mu podobne.

Niewielu już pamięta, czemuż to król Pigmalion stworzył swój sztuczny ideał kobiety. Według Owidiusza król Pigmalion generalnie bał się kobiet po swych kontaktach seksualnych z nierządnicami projtydzkimi. Marzył o kobiecie idealnej, czyli w pełni mu uległej.

W „Biednych istotach” też mamy opowieść o kobiecym dziecku tablicy. Materiale na ideał kobiety uległej. Zgodnie z naturą dziecko stopniowo odkrywa świat. Dorasta, zapisując narzuconą mu edukację. Wedle obowiązujących w jego świecie męskich wzorców.

Ale Bella szybko buntuje się przeciw swemu twórcy i kolejnym nauczycielom. Nie daje się ujarzmić, nie kupuje tego, co wypada, a co nie. Przestaje być żywą lalką, staje się człowiekiem decydującym o swych prawach i granicach swego postępowania.

Bezwstyd

Poznawanie otaczającej jej rzeczywistości zaczyna od poznawania swego ciała. Najpierw odkryła masturbację. Powszechnie znaną, ale ciągle przez kulturalnych ludzi traktowaną jako tabu. Wstyd.

Rys. MARCIN CHUDZIK

Fascynuje ją seks. Czerpie z niego radość. Na swe szczęście nie wie, czym jest wstyd, bo nie przyswoiła sobie zasad, jakie zwykle dzieciom od urodzenia wbijają do głów rodzice, nauczyciele, księża.

Kieruje się przede wszystkim ciekawością i instynktem. Kiedy odkrywa orgazm, dziwi się, że ludzie tak rzadko uprawiają seks. Zauważa też, że jest obiektem seksualnego pożądania wielu mężczyzn.

Dorastając, staje się świadoma swej powabności i wynikającej z tego własnej siły. Nie chce żadnych ograniczeń, nie uznaje narzucanych jej konwenansów. Chce uciec spod kurateli swego stwórcy, by doświadczać kolejnych różnych wrażeń bez zakazów i nakazów. Dlatego wykorzystuje pierwszą nadarzającą się okazję i rusza w świat z zakochanym w niej playboyem. Notorycznym uwodzicielem niewinnych istotek. Rozkochującym je i wykorzystującym seksualnie.

Ów Duncan Wedderburn mógł zgodnie z panującymi normami uwodzić i bzykać kolejne kobiety. Najlepiej młode dziewice. Po każdym takim podboju jego męska wartość jeszcze bardziej rosła. Był obiektem podziwu i męskiej zazdrości.

Każda zaś uwiedziona i wybzykana piękna lala od razu traciła na swej kobiecej wartości. Była zbrukana. Niegodna bywania w porządnym towarzystwie. Niegodna małżeństwa z porządnym kandydatem.

Filmowa Bella łamie ten kulturowy, nadal powszechny schemat. Zadaje coraz bardziej aktualne wśród współczesnych kobiet pytanie: czemu masowo bzykający się facet uważany jest za wzór do męskiego naśladowania, obiekt zazdrości innych facetów, a korzystająca z prawa do radości z poligamicznego seksu kobieta ciągle jest powszechnie piętnowana? Czemu to kobieta powinna być wierna seksualnie jednemu mężczyźnie, a mężczyzna już taki być nie musi?

(Nie)podległe

Historycy obyczajów zauważali, że jeszcze w XIX w. kobiety musiały być podległe seksualnie mężczyznom, bo zawsze były zależne od nich finansowo. Jagna z „Chłopów” musiała iść za Borynę, bo on miał morgi. Bellę Łęcką z „Lalki” najbardziej kręciły pieniądze Wokulskiego. Bella z „Niewinnych istot” też jest początkowo na utrzymaniu pana Duncana.

Ale kiedy on niespodziewanie bankrutuje, to ona nie poddaje się, tylko bierze sprawy we własne ręce. Bierze kochanka na swe utrzymanie. Zarabia na niego w burdelu. Bo umie już uprawiać seks i czerpać z tego radość. Zarabia ciałem, bo też chce się o nim jak najwięcej dowiedzieć, chce w pełni poznać swe ciało. Ów burdel traktuje jak kolejne doświadczenie, szkołę życia, uniwersytet wręcz. Tam szybko z uczennicy staje się nauczycielką, kiedy do tego przybytku przychodzi ojciec z synami.

Wiemy już, że kobiety statystycznie stanowią większość ludzkiej populacji. W cywilizacji zwącej się zachodnią i demokratyczną kobiety wywalczyły sobie już prawa do uprawiania polityki, do uprawiania niemal wszystkich zawodów. Przysłowiowe prawo do chleba.

Nadal jednak, o czym przypomina film „Biedne istoty”,

kobiety nie mają pełnych i równych praw do seksu. Począwszy od prawa do masturbacji bez poczucia narzuconego nam wstydu, a na prawie do swobodnego bzykania się skończywszy.

Bez groźby męki piekielnej i internetowego hejtu. Prawa do przelecenia swojego frędzla, kiedy tylko najdzie im ochota na bzyk.

I niechże im się spełni to jak najszybciej!

PIOTR GADZINOWSKI

KAZACZOK Z CZOŁGAMI

☆ Departament Stanu USA obwieścił sukces: w ubiegłym roku Stany Zjednoczone sprzedały broń za rekordową sumę 238 mld dol. Polska zasiliła budżet amerykańskich koncernów zbrojeniowych kwotą ok. 32 mld dol., kupując helikoptery Apache, wyrzutnie Himars, czołgi Abrams oraz zintegrowane systemy dowodzenia obrona przeciwlotniczą i przeciwrakietową. Premier Donald Tusk zapowiedział kontynuację zakupów. Tymczasem, jak donosi „Gazeta Wyborcza”, jankesi to wytrawni handlarze i sprzedają broń po obydwu stronach frontu. 72 proc. rosyjskiego uzbrojenia pochodzenia zagranicznego odnalezionego na Ukrainie wyprodukowano w USA, a od stycznia do października 2023 r. Rosja importowała ze Stanów Zjednoczonych 25,5 proc. elementów uzbrojenia. Jak mawiają za oceanem, *business is business.*

☆ Politolog Andrzej Gil zwięźle opisał na łamach „Do Rzeczy” stan ukraińskiego państwa: „Jeśli ktoś myślał, że wojna zmieniła strukturę oligarchizacji polityki na Ukrainie, to się mylił. Oligarchowie byli, są i będą, i to oni mają największy wpływ na politykę Ukrainy. To polityka prowadzona w imię wąskiej grupy społecznej. To jest budowane pod ich interes, a nie pod interes narodu ukraińskiego. Ukrainie jest potrzebna rewolucja, która zmiecie ten system, który rezonuje korupcją i złodziejstwem na skalę, którą trudno nam sobie wyobrazić”. Czyżby profesor sugerował kolejny majdan?

☆ Nasz wierny czytelnik zwrócił uwagę na interesującą informację: sześć Polek i Ukrainek zatrudnionych w Dolnośląskim Urzędzie Wojewódzkim zostało oskarżonych o korupcję. O sprawie pisze wrocławska „Gazeta Wyborcza”: „»Troja« i »Ramirez« to akcje CBA, które doprowadziły śledczych do urzędniczek Dolnośląskiego Urzędu Wojewódzkiego. Według służb za łapówki miały one przyspieszać otrzymywanie przez obywateli Ukrainy pozwoleń na pobyt i pracę. Prokuratura jest przekonana: były perfumy, pieniądze w kopertach i na konto”. My zaś pytamy: kto w CBA wymyśla tak fenomenalne kryptonimy operacyjne?

☆ Szef sztabu generalnego brytyjskiej armii gen. Patrick Sanders poinformował, że w wojskach lądowych liczącej 67 mln obywateli Wielkiej Brytanii służy obecnie 73 tys. żołnierzy. Oznacza to, że na jednego żołnierza wojsk lądowych przypada 917 mieszkańców. W Niemczech ten stosunek wynosi 1:1343, w Szwecji 1:1615, a w toczących wojny na całym świecie Stanach Zjednoczonych 1:740. Tymczasem rządząca w Polsce koalicja 15 października (vel 13 grudnia) wciąż nie wycofała się z absurdalnych planów Mariusza Błaszczaka o 300-tysięcznej armii (jeden żołnierz na 127 obywateli).

☆ Mieszkająca w Waszyngtonie Irena Lasota dzieli się na łamach „Rzeczpospolitej” swymi przemyśleniami: „Rosji i Rosjan nie da się wyleczyć farmakologicznie. […] Nieszczęścia, o których piszę, walą się na Rosję jak plagi egipskie, ale faraon jest nieugięty. Już nawet w Moskwie wyłączają elektryczność w niektórych dzielnicach (»po grafiku« – jak mówiono po sowiecku), a już 100 kilometrów od Moskwy walą się mosty, zapadają drogi, nie ma łączności. Na YouTubie pełno jest filmików, które kiedyś by wywoływały choć trochę litości, ale już nie […] staruszka przechodzi na białych pasach i poślizguje się, przewracając tuzin innych ludzi na nieodśnieżonej ulicy [mają krzepę te rosyjskie staruszki – przyp. M.S.], albo w jednym końcu miasta stoi kilkusetosobowa kolejka po jajka, a w drugim końcu – po kury […]. I póki nasza ręka, ta oświecona zachodnia ręka, nie wyciągnie się z Davos, by ograniczyć ekspansję Rosji lub mówiąc wprost – udusić Rosję – ta będzie miała skąd brać środki na rakiety i samoloty, choć niekoniecznie na jajka i kury. Wracając do języka medycyny – może jednak dokonać eutanazji na pacjencie”. Prawicowych publicystów łączą co najmniej dwie cechy: niepodawanie źródeł swych rewelacji i chrześcijańska miłość bliźniego.

MAREK SANOWSKI
Ukraina.tygodniknie@gmail.com

eprasa.pl 5ab4f63b20

Ludzkość u progu zaniku pracy seksualnej.

Roksa odżyła

Niemieccy chrześcijańscy demokraci mają problem w przeciwieństwie do niemieckich socjaldemokratów, którzy go nie mają. Zdaniem chrześcijan niemieckich, a są oni nieco inni od naszych, bo to różnego rodowodu protestanci (czyli na przykład używanie przez nich prezerwatyw nie jest grzechem tak jak w Częstochowie), Niemcy stały się burdelem Europy. Powiedzmy sobie szczerze: w Niemczech działy się dużo gorsze rzeczy związane ze sprawą choćby Żydów niż to, że prostytuuje się tam każdej nocy 260 tys. kobiet i działa 2,6 tys. domów publicznych.

Gastarbeiterki

Niemcy nie są zadowoleni, ponieważ prostytutki to przeważnie Polki i Francuzki. Ostatnio i Ukrainki, które przybyły do Reichu na roboty z przyczyn nie do końca przez Niemców zawinionych. Za najazd francuskiego kurewstwa – to jest to najgorsze, bo niesie ze sobą francę, czyli chorobę francuską – obciążają Macrona, który w 2017 r. zlikwidował francuskie domy publiczne, bo Francuzi podobnie jak Polacy to rzymscy katolicy. Hugenoci stanowią pomijalną mniejszość, od kiedy wymordował ich nie wiadomo kto w noc świętego Bartłomieja.

Prezydent Macron zgodził się z supozycją, że każdy wytrysk nasienia opłacany pieniędzmi lub w naturze jest przestępstwem. Policja, zwłaszcza w pierwszym okresie funkcjonowania nowego prawa, z ogromnym zaangażowaniem śledziła wszelkie nielegalne wzwody i ejakulacje. W rezultacie seksbiznes przeniósł się do niemieckiego Zagłębia Ruhry i Nadrenii. Weekendowy Hamburg uprawia miłość francuską i mówi po parysku.

Kolejny cios w niemieckie podstawowe moralne zasady współżycia zadał, chcąc lub nie chcąc, Jarosław Kaczyński, odcinając świat polskiej prostytucji od krajowego rynku i zmuszając do zarobkowej emigracji.

Największe pretensje niemieccy protestanci mają jednak do Putina. Ten, wywołując wojnę z Ukrainą, spowodował najazd na Niemcy ok. 200 tys. młodych ukraińskich kobiet bez żadnych unioeuropejskich kwalifikacji, które nie dość, że się kurwią, to jeszcze zabijają. Ukraina bowiem od dłuższego czasu osiągała niechlubny najwyższy w Europie odsetek ludzi przenoszących wirusa HIV. Putin, mistrz judo, sportu, w którym wykorzystuje się siłę przeciwnika do pokonania jego samego, uderzył w Niemców ukraińską bronią biologiczną. Jeszcze nie spowodowała klęski podobnej do tej spod Stalingradu, ale wszyscy dobrze wiemy, jak to jest z tymi wirusami.

Luteranie widzą źdźbło w oku bliźniego, a belki we własnym – nie. Niemiecki system prawny jest niezwykle przyjazny dla pracowników seksualnych. Po pierwsze, status burdeli nie jest tak do końca przejrzysty, więc jak alfons zachowuje się niczym hitlerowiec, robotnice mają na niego bata: zawsze mogą donieść policji i wsadzić za kraty. Prostytutka niemiecka ma ubezpieczenie, płaci podatki. Może domagać się przed sądami zapłaty za usługę, gdyby ta nie została uiszczona, natomiast klientowi nie wolno zgłaszać żadnych roszczeń w przypadku brakoróbstwa lub na przykład niewywiązania się strony z umowy na zrobienie laski.

Historyczna wiwisekcja

Przejdźmy jednak do polskiego aspektu niemieckiego problemu. Historycznie rzecz biorąc, w Polsce (mam na myśli Warszawę, do tej mi jest najbliżej) w ostatnim półwieczu było to tak: w PRL prostytucja była problemem wstydliwym, politycznie niewygodnym. Ówczesne prostytutki, obecnie w wieku emerytalnym, miały stworzone doskonałe warunki pracy i płacy. Przesiadywały głównie w czterogwiazdkowych hotelach sieci Orbis. Tam też się oddawały głównie przystojnym mahometanom z Jemenu. Zarabiały lepiej od profesorów uniwersytetów, a jeszcze pilnowała je bardzo profesjonalna Służba Bezpieczeństwa.

Po festiwalu Solidarności nastał wolny rynek. Eksplozja kurewstwa i nierządu. Na każdym przystanku tramwajowym rozdawano ulotki reklamujące „francuski bez" (to skrót myślowy od francuza bez prezerwatywy, znaczy: seks oralny bez zabezpieczeń). Inteligenckie „Życie Warszawy" z Tomaszem Wołkiem w roli redaktora naczelnego (oryginalnie z chrześcijańskiej „Więzi") zapełniało przynajmniej pół szpalty codziennie reklamami burdeli oraz „namiętnych kocic". To pozwoliło żyć Wołkowi na odpowiednim poziomie.

Rys. WIDGET

Kręciło się do momentu, kiedy pojawił się desant rumuński. Niewiasty o śniadej karnacji, wystrojone jak choinki, na wysokich obcasach stały wzdłuż polskich dróg i parkingów, wyprzedzając w wyścigu do klienta polskie domatorki.

Ta sytuacja trwała aż do momentu, kiedy prezydentem Warszawy został Lech Kaczyński. Aleje Jerozolimskie, przy których prawie wszystkie domy obwieszone były banerami informującymi o lokalizacjach agencji towarzyskich, nagle stały się szare i nijakie. Wkręcenie w żyrandol czerwonej żarówki, której światło przez nieprzesłonione okno widoczne było w nocy na zewnątrz, gwarantowało wizytę brygady antyterrorystycznej z bronią długą. Policja ze światłem i personelem robiła porządek, znajdując przy okazji narkotyki, papierosy i wódkę bez akcyzy. W branży nastały ciężkie czasy trwające aż do śmierci Kaczyńskiego, z tym że około 2007 r. pojawił się fart techniczny zwany internetem.

Cyfrowa transformacja

Ówczesna technika www była już na tyle zaawansowana i popularna, że kurwy ogłaszać się mogły w internecie, czemu naprzeciw wyszło dwóch przedsiębiorców. Jeden spod Tarnowa, który uruchomił witrynę internetową z anonsami erotycznymi Odloty.pl, a drugi konkurencyjną – Roksa.pl. To było otwarcie nowej epoki nie tylko dla prostytutek. Na Roksie znajdowało się ponad 20 tys. anonsów erotycznych pań z całej Polski (i panów także). Płacili po 50 zł. Łatwo obliczyć, że daje to milion złotych wypłaty bez podatku miesięcznie. W czasach, kiedy nie było dotacji unijnych, były to zdumiewające osiągnięcia biznesowe.

Złote lata trwały do 2015 r., kiedy rządy PiS-u powiedziały kurewstwu stanowcze „nie". Nie było tygodnia bez informacji o ataku policji na agencje towarzyskie, w których czerpano korzyści z cudzego nierządu, więziono i głodzono kobiety, i oczywiście znajdowano dziecięcą pornografię. Atak przypuszczono też na wspomnianą Roksę, aresztując 11 osób i wtrącając do więzienia pod zarzutem ułatwiania nierządu. Właściciel Odlotów wkrótce potem zwinął interesy i podobno uszedł za granicę.

Drastyczne środki przyniosły taki efekt, że o ile w roku 2016 policja prowadziła ok. 800 spraw w związku z przepisami zabraniającymi wspomagania nierządu, o tyle w 2020 było już ich zaledwie 100.

Listopadowy renesans

Odcięcie od możliwości kontaktów z klientami spowodowało masową emigrację polskich prostytutek do Niemiec. Podaż umierała. Klienci byli zrozpaczeni aż do minionego roku, kiedy było jasne, że w październikowych wyborach do władzy dojdzie opcja liberalna. To by oznaczało reaktywację ogromnego rynku, o czym wiedzieli przedsiębiorcy głównie z Niemiec.

W listopadzie matryce laptopów wybuchły portalami randkowymi, quasi-randkowymi, społecznościami miłośników wolnego seksu itd. Ale obserwuje się zasadniczą zmianę modelu biznesowego.

Po pierwsze, rynek polski opanowały instytucje w dość egzotycznych lokalizacjach: nowa Roksa zarejestrowana została na holenderskich Antylach. Portal Erodate niemieckiego pochodzenia zarejestrowano na Łotwie, gdzie prostytucja jest legalna. Odloty pod nazwą Sex Odloty reaktywował podmiot zarejestrowany nie wiadomo gdzie. Polskie dziewczyny sprzedają się przez serwery w Nevadzie, jedynym stanem USA zezwalającym na legalną prostytucję, Senegalu, mahometańskiej Turcji, no i oczywiście w Niemczech.

Nowy model biznesowy

O ile w istocie charakter portali erotycznych się nie zmienił, o tyle nie można obecnie zarzucić ich organizatorom jak ongiś kuplerstwa. Kuplerstwo, czyli ułatwianie nierządu, jest przestępstwem w Polsce, jeżeli pobiera się za to pieniądze. Nowa twarz różowego internetu jest bezpłatna. Panie i panowie nie płacą nic.

Zatem powstaje pytanie, gdzie jest haczyk. Otóż cybernetyczni stręczyciele chwalą się, że w ciągu ostatniego kwartału odnotowali miliony odsłon. Jedni, że 5 mln, inni, że 8 mln. Publikacja w takiej sytuacji byle reklamy za 3 centy od oglądacza, a niech tych reklam na stronie internetowej będzie trzy lub pięć, to mi wychodzi plus minus 2 mln zł dla właściciela portalu.

Branża znowu kwitnie i cieszy. Jeżeliby zsumować wszystkie profile pań lżejszych obyczajów, wychodzi, że jest ich ze 100 tys., a to i tak nie jest tyle, ile było dziewięć lat temu, kiedy mówiono, że mamy 160 tys. pracownic seksualnych. Rynek odbija się od dna. Ceny są na miarę inflacji. Rekordzistki życzą sobie 2 tys. za godzinę. Te o mniejszym ego nie schodzą poniżej 300 zł.

Rozpusta 4.0

Ale koniec nastąpi w ciągu dekady.

Najstarszy zawód świata, co wydawało się niemożliwe, zaniknie. Mamy do czynienia z ostatnim pokoleniem polskich (i nie tylko) prostytutek. Zastąpią je seksroboty.

Wygląda to tak, że seksroboty są inteligentniejsze od pań lekkich obyczajów. Rozmowa z nimi bardziej romantyczna, próbują być dowcipne. Dysponują ogromem wiedzy zadowalającej szerokie spektrum żywych umysłów płci męskiej. Spróbuj z dziewczyną z agencji towarzyskiej poruszyć problematykę etnofilologii kaszubskiej, nowoczesnego zarządzania parafią albo filozofii intersubiektywizmu. Ale nie przesadzajmy. Nikt nie idzie do łóżka dla inteligencji.

Sekslalki wyposażone w elektronowe mózgi wyglądają zdecydowanie atrakcyjniej od tych wykonanych z białka, są równie miłe w dotyku, utrzymują naturalną ciepłotę ludzkiego ciała, mają nawet jakąś mimikę i nie przenoszą chorób drogą płciową.

Prezentowane filmy promocyjne producentów tych zabawek uświadamiają jednak, że jest to oferta adresowana przede wszystkim do nekrofilów. Ars amandi przypomina raczej spółkowanie z trupem. Cena jest zaporowa, w okolicach 20 tys. dolarów za robolalkę. Środowiska zawodowe, w których nekrofile się lokują, nie osiągają dochodów pozwalających na takie wydatki.

Poważną wadą obecnych seksrobotów jest brak podobnych do ludzkiego ciała funkcji motorycznych. Sekslalki są jak kłody, co oczywiście w branży żywych odpowiedników też nie jest przecież odosobnione, jednak wygląda nieco inaczej.

To kalectwo znikłoby, gdyby silikonowe powłoki imitujące ludzkie ciała z dużym realizmem faszerować inżynierią robotyczną amerykańskiej firmy Boston Dynamics, która wyprodukowała tego psa robota (cena 70 tys. zielonych).

Inżynieryjna pruderia

Nie następuje to jeszcze nie tyle z przyczyn technicznych, ile raczej barier obyczajowych. Poważni inżynierowie, wynajęci przez armię Stanów Zjednoczonych, przecież nie głowili się po to, aby ich maszyny dawały dupy. Jest to jednak problem przejściowy, obyczajowy, religijny i prawny. Czy nie lepiej uprawiać nierząd z robotem, co zapewne jest mniejszym grzechem niż onanizm, w sytuacji kiedy znikną wszystkie te poboczne skutki, które postrzegane były jako prawdziwie stygmatyzujące branżę usług seksualnych? Wyzysk, przymus, pozbawianie wolności, gwałty, nagabywanie, czarnorynkowość, względy medyczne oraz słusznie domniemywana kryminogenność tej sfery ludzkiej aktywności.

Po batalii publicystycznej świat dojdzie do przekonania, że obecne obrzydzenie między lalkarstwem a robotyką nie ma sensu, zwłaszcza w perspektywie niebotycznych potencjalnych zysków finansowych. Jednak znów jest kłopot. Seksrobot zawsze będzie urządzeniem drogim. Obecnie kosztowałoby to jakieś 200 tys. dolarów. Nie wydaje się też, aby kiedykolwiek mógł być tańszy od samochodu osobowego z najwyższej półki.

Googleprostytutka

Złożoność techniczna, staranność oraz ilość wiedzy potrzebne do produkcji seksrobota tak naprawdę wymagać będą fabryk podobnych tym, w których wytwarza się auta. Nie będą to produkty powszechnie kupowane ze względu na zaporową cenę. Raczej w grę wchodzić może dzierżawa lub leasing. Drogi produkt musi zatem dotrzeć do szerokiej klienteli, która płacić będzie za jego krótkotrwałe użytkowanie nieznaczne pieniądze, co pozwoli, aby maszyna zwróciła nakłady i przyniosła zyski.

Takiego przedsięwzięcia nie podejmie się biznes klasy agencja towarzyska. Tu potrzeba kapitału i organizacji korporacji. I oczywiście będą to te, o których myślimy. Google będzie tworzyć huby usług seksualnych z inteligentnymi robolalkami w perukach koloru orzechowego. T-Mobile zaproponuje naturalne blondynki o niebieskich oczach zasilane sztuczną inteligencją wyskalowaną według 95 tez Marcina Lutra, potrafiące też jodłować. Samsung dostarczać będzie Azjatek z płaskimi piersiami. Seksroboty Facebooka!? Yhm – no to ja nie powiem, bo znowu się do mnie ktoś o coś przywali.

Piękne czasy nadchodzą, w których słowo „kurwa" przestanie mieć jakiekolwiek pejoratywne znaczenie, straci ciężar semantyczny, a kobiety zostaną uwolnione od piekła burdeli. Papież z dekalogu wykreśli szóste przykazanie, ponieważ cudzołóstwo stanie się technicznie coraz trudniejsze, moralnie niewykonalne, a ekonomicznie nieopłacalne. Wszystko to już za 10 lat.

ROBERT JARUGA
robert.jaruga@doborowa.com.pl

eprasa.pl 5ab4f63b20

Burmistrz, który nie wziął

Samorządowa kampania wyborcza alla polacca.

Burmistrz bierze. Nie sztabki złota czy koty bengalskie, tylko zwyczajne peeleny. Nie jest drogi. Za okazyjną sprzedaż gminnej ziemi 250 tys. zł, można się targować. Szokujące? Wcale. Włodarz jest z PSL, oni mają takie łapy, że wszystko się do nich lepi…

Nazwisko włodarza? Zainteresowany nigdy nie chował się pod inicjałami. Mirosław Gąsik, tak, tak, z województwa lubuskiego, ze Szprotawy, to w powiecie żagańskim. Każdy słyszał o aferze szprotawskiej, bo to była gigantyczna afera. Kilka dni temu okazała się wydmuszką.

Miotła

Przed aresztowaniem Gąsika nie wiedzieliśmy, że Szprotawa istnieje. Wepchnięta w południowo-zachodni skrawek mapy, 60 km do granicy niemieckiej, nienachalnie urodziwa, oparta o dwie rzeczki, zadłużona po kokardę. Ledwie 11 tysięcy duszyczek, zabytków co kot napłakał, ludzie z dawien dawna oszczędni, kościół ewangelicki zbudowano na fundamentach średniowiecznego zamku.

Gąsik miał 45 lat, kiedy w 2018 r. wygrał wybory na burmistrza. Głośno było o tym co najwyżej w powiecie. Przedsiębiorca od energii odnawialnej rozpoczął urzędowanie od czyszczenia. „Kasa wypływała na wiele sposobów, tak nie może być" – powtarzał i słał pisma do prokuratur, piętnujące poczynania poprzedników.

Miejscowi obstawiali zakłady, czy i kiedy uda się wyplenić nowemu włodarzowi korupcję z gminnych struktur, aż poszło po mieście, że nie zdąży. Nie zdąży, bo usiądzie. Plotkę miał rozpuścić radny PiS o pięknym imieniu Piotr. Ten Piotr został wymieniony przez miejscowe gazety po nazwisku, ale na początku nikt nie brał jego przepowiedni poważnie.

Klecha

Gąsik robił swoje. W wyjściu na prostą miała pomóc sprzedaż gminnej ziemi. Biegły oszacował jej wartość, ale panowało przekonanie, że licytatorzy podbiją cenę do samego nieba. Bo zwycięzcę miał wyłonić otwarty przetarg. Wśród zainteresowanych był biznesmen z Chin, a także Rafał, inwestor ze Słowacji.

– Dziwny taki – uważają dziś miejscowi. – Szukał w Szprotawie popleczników, chciał dotrzeć do burmistrza. Po co, skoro ten z założenia nie miał żadnego wpływu na przebieg licytacji?

Rafał dotarł do ks. Ryszarda. Starszy pan po trzech udarach, nadżarty przez raka. Duszpasterz Kościoła polskokatolickiego. – Typ załatwiacza. Brat łata, który wszystkich zna i wszystko może – charakteryzuje go kelnerka z baru kebab.

Kościół polskokatolicki liczy kilka tysięcy wiernych, jeśli wierzyć spisowi powszechnemu, albo kilkanaście tysięcy, jeśli ufać danym wspólnoty. Ma najwięcej pasterzy na tysiąc owiec. Przyciągnęły ich pryncypia (prawdą, walką, pracą), a także fakt, że polskokatolickich księży nie obowiązuje celibat.

– Gmina ma ziemię na sprzedaż, pomożesz? Burmistrza na pewno znasz… – zagadał Rafał do księżulka. Tak pamięta spotkanie gospodyni. – Szukam takiego kawałka. Każdy kościół ma ziemskie potrzeby, ty pomożesz, to i ja pomogę – obiecał.

Pierogi

Burmistrz traktował księdza Ryszarda grzecznie. Stary chory człowiek prosi, żeby się spotkać z kimś? Kolejny chętny na ziemię? Chce pogadać? Czemu nie… Gąsik spotkałby się nawet z diabłem, gdyby chciał zainwestować w Szprotawie.

Panowie spotkali się w Wiechlicach, tak było najprościej. Jest tu XIX-wieczny pałac, w którym na ogół stacjonowały zwalczające się armie, a w nim knajpa. Jak ustaliliśmy w trakcie dziennikarskiego śledztwa, panowie przekroczyli jej progi. Nie siedzieli przy pustym stoliku. Burmistrz zjadł pierogi, Rafał rybkę, klecha był tak przejęty, że zadowolił się colą. Nie jest jasne, czy włodarz zamówił pierogi z wołowiną i cielęciną, polane sosem kurkowym, czy pierogi ruskie ze śmietaną, poprawność polityczna każe dziś mówić „ukraińskie".

Ryba była najdroższą pozycją w tym menu, za łososia z dzikim ryżem, parzonymi brokułami i sosem maślano-cytrynowym trzeba wyskoczyć z 70 zł. To niesłychanie ważne, bo rachunek zapłacił biznesmen ze Słowacji. Jak się wkrótce okazało – agent Centralnego Biura Antykorupcyjnego!

Przebieraniec nie płacił ze swoich, tylko z funduszu operacyjnego. Czyli na rachunek zrzuciła się niżej podpisana i szanowni PT Czytelnicy. Podczas przegryzki nie zapadły żadne ustalenia, ale w CBA obowiązuje dyscyplina budżetowa, więc agent wszystko nagrał. Zapis pogaduszki, z której nic nie wynika, trafił do archiwum na dowód, że funkcjonariusz nie karmił w pałacu swojej mamy, tylko burmistrza, o którym sądził, że może być łasy na kasę.

Walizka

Potem przebieraniec spotkał się z klechą. W samochodzie byli we dwóch. Rafał wręczył duszpasterzowi walizeczkę wypełnioną peelenami. W sumie 500 tys. złotówek. Ks. Ryszard z pokorą przyjął ofiarę. Czy obiecał pomóc w staraniach o ziemię? Jasne. Księża lubią wspierać bliźnich w ich ziemskich staraniach.

CBA widzi to tak: burmistrz żądał łapówki za ułatwienia przy zakupie ziemi. Duszpasterz zobowiązał się odpalić mu działkę.

Ks. Ryszard Sz. mówił o sprawie inaczej: – Pewnie, że wziąłem pieniądze od Rafała. To była ofiara na podniesienie z ruin kościoła ewangelickiego...

Nie wiemy, czy ksiądz podzieliłby się szmalem z burmistrzem. Jego rozmowy telefoniczne były podsłuchiwane przez CBA. Raz mówił, że by się podziałkował, innym razem, że w życiu.

Nie wiemy, jak zachowałby się kuszony samorządowiec. CBA wolało tego nie sprawdzać. Nie wysłało klechy, aby wręczył kontrolowaną łapówkę. Tuż po otrzymaniu walizki duszpasterz – nie uwierzycie, jeśli przeczytaliście choć jeden kryminał – został aresztowany, a mamona wróciła w łapy funkcjonariuszy CBA.

Kajdanki

Kilka godzin później Gąsik debatował z podwładnymi o kasie. Że w ciągu roku udało się zmniejszyć zadłużenie gminy o dużą bańkę, brawo my, ale modernizacja dróg ssie szmal jak gąbka, więc trzeba zwierać pośladki... Goście byli w kominiarkach i nie anonsowali się przez sekretarkę. Wtargnęli z okrzykiem: – Policja! Rączki do tyłu, panie Gąsik! Kajdanki!

Pod ratuszem czekali widzowie – osoby związane z PiS. Wśród nich radny Piotr.

Był 23 października 2019 r. Piotr rozwinął się na Fejsie: „Miało być tak pięknie, ładnie, nowa energia dla Szprotawy, a co wyszło? Aresztowanie burmistrza!!! Jedynie pocieszające dla naszej gminy jest to, że już niedługo w Szprotawie zaczną być uczciwe, transparentne i sprawiedliwe rządy, ponieważ Prezes Rady Ministrów powoła na wniosek wojewody komisarza dla naszej gminy".

Rzeczywiście, rządy w Szprotawie objęła emerytowana nauczycielka należąca do PiS.

Cela

W Areszcie Śledczym w Poznaniu Gąsik trafił do celi z grypsującymi weteranami. – Co pan chcesz? – zapytał strażnik. – Trzeba się przyzwyczaić. Grozi panu 12 lat…

Strach. Nadzieja, że lada moment wszystko się wyjaśni. – Nieporozumienie – powiedzą. Przeproszą.

Prosty zarzut pozwalał sądzić, że w miesiąc powstanie akt oskarżenia. Żądał łapówki albo nie żądał, nie ma miejsca na niuanse. Tymczasem minęła zima, aktu jak nie było, tak ni ma. Przez trzy miesiące Gąsik schudł 10 kg. Przesiedział dziewięć miesięcy.

Pierwszą rozmowę telefoniczną z matką – jest jedynakiem – mógł odbyć po pięciu miesiącach odosobnienia. Trwała pięć minut.

Książki nie pozwoliły mu zwariować. Po jakimś czasie został zaakceptowany przez współtowarzyszy niedoli. – Opowiedz jeszcze – prosili. – No o tej Katarzynie, co jej nie zna Suski.

Gospodarz

Strażnicy byli rzeczowi i kompetentni. CBA, prokuratura, sąd?

– Całokształt materiału dowodowego zgromadzonego w postępowaniu przygotowawczym wskazuje, że podejrzany popełnił zarzucane mu przestępstwo. Na sprawstwo burmistrza wskazuje przede wszystkim materiał dowodowy opatrzony klauzulą „ściśle tajne" – upierała się prok. Anna Marszałek, rzecznik poznańskiej Prokuratury Regionalnej.

Mecenasi burmistrza zostali dopuszczeni do materiału dowodowego dopiero po kilku miesiącach od zapuszkowania klienta. Niemożliwe w Europie? W Polsce tak, kiedy dowody są w aktach utajnionych. Jak już dotarli do nagrań, okazało się, że w istotny sposób różnią się od stenogramów. Polecieli z odkryciem do sądu.

Sąd przedłużał areszt. Przecież sąd „nie ma możliwości technicznych zapoznania się z głównym dowodem w sprawie". Czyli nie ma jak odsłuchać nagrań.

Łukasz Cieśla z „Gazety Lubuskiej" cztery lata temu próbował ustalić, kto kłamie. Prokurator czy obrońcy? Sądy w Żaganiu i Poznaniu zlały pytania o różnice między nagraniem a stenogramem. Sąd z Zielonej Góry odpowiedział, że gospodarzem śledztwa jest prokurator i tylko on może udzielić stosownych informacji.

Bajka

Kilka dni temu Sąd Rejonowy w Żaganiu uniewinnił Gąsika. Wyrok jest nieprawomocny, ale jednoznaczny.

CBA wykreowało przestępstwo, którego nie było. Zrobiło to byle jak, na rympał. Funkcjonariusze nie znali realiów samorządowych, nie słyszeli o przetargach otwartych, w których wygrywa, kto da więcej. Nie zastanowili się więc, po co korumpować burmistrza, jeśli ten nie ma żadnego wpływu na cenę sprzedaży gruntu.

CBA – wiadomo. Upolityczniona policja, która ma zostać zlikwidowana. Ale dlaczego prokuratura łykała bajki?

Można sądzić, że nie z powodu braku mózgu w prokuratorskich głowach. Szyła, bo taki był obstalunek. Taka była potrzeba polityczna.

Prokuratura Regionalna w Poznaniu odpuściła proces jakiś czas temu. Na rozprawach trzeba się było czerwienić, kruszała mocarstwowość PiS. Więc w sądzie przestał się pojawiać prokurator ze stolicy Wielkopolski. Zastępował go nieznający akt kolega z Żagania. 12 lat odsiadki, którymi epatowano dziennikarzy, rozpoczynając śledztwo? Ależ skąd! W mowie końcowej prokuratura prosiła o najniższy wymiar kary.

Teraz, po wyroku, trzyma fason. Co niby ma zrobić? Ksiądz Ryszard nie żyje, bliscy obwiniają o jego przedwczesną śmierć organy ścigania. – Może złożymy apelację od wyroku – twierdzi więc rzeczniczka Prokuratury Regionalnej.

Choć powinna powiedzieć: to sprawa dla komisji dyscyplinarnej. Sprawdzimy, kto zapłacił prowadzącemu śledztwo prokuratorowi i w jakiej monecie. Czy to był awans, posada dla żony czy tylko podwyżka? A może prokurator działał bez polecenia i nagrody, dlatego że coś wypił bądź powąchał?

Prokuratorzy są dziś Polsce praktycznie bezkarni. Nawet jeśli prokurator zostanie zawieszony, można zmniejszyć jego płacę o 50 proc., ale to teoria. W praktyce uszczupla się wynagrodzenie o 15 proc. I nawet jeśli wina zostanie prawomocnie uznana, nie ma mowy o zwrocie tych pieniędzy.

BOŻENA DUNAT

Rys. JANUARY

Od kilku lat PiS przygotowywało się do wyborów samorządowych. Cała Polska pełna jest podobnych afer. Na przykład:

Marek Nazarko, burmistrz Michałowa. Michałowo leży na Podlasiu, pod białoruską granicą. Zrobiło się sławne, bo karmiło dzieci uchodźców, którym udało się przejść przez mur. Związany z PO Nazarko został oskarżony o popełnienie dwóch przestępstw: nadużycie uprawnień przy zakupie prywatnej działki i niedopełnienie obowiązków poprzez niepublikowanie oświadczeń majątkowych radnych. Został uniewinniony przez sąd pierwszej instancji, który ocenił, że opisane czyny nie są przestępstwami. Prokuratura odwołała się od wyroku. Sąd Okręgowy w Białymstoku podtrzymał go i przeprosił oskarżonego za działania prokuratora i organów ścigania.

Nazarko mówił o tym tak: – Przez cztery lata prześwietlono 20 lat mojego życia. Wielokrotnie przesłuchiwano pracowników urzędu, biegli analizowali wszystkie moje zeznania do urzędu skarbowego, sprawdzali, czy wystarczyło mi wypłat na życie. To jakiś obłęd, kosztujący podatników wiele tysięcy złotych.

Mateusz Klinowski, były lewicowy burmistrz Wadowic, który zamierza powrócić w tym roku na urząd, został oskarżony przez prokuraturę o wiele przestępstw. Ostatnio sąd uniewinnił go od zarzutu przekroczenia uprawnień i niedopełnienia obowiązków podczas budowy ogólnodostępnych toalet w miejskim parku. Klinowski: – W czasie postępowania sądowego przesłuchano kilkudziesięciu świadków. Sprawdzano najbardziej absurdalne nawet teorie spiskowe, jak ta o studentce, która miała wpłacić rzekomą łapówkę na komitet wyborczy, z którego startowałem w 2014 r., w ten sposób ustawiając przetarg na budowę toalet w 2018 r. Studentka to w rzeczywistości 90-letnia kobieta. Tym podobne fantazje, produkowane przez lokalnych nielotów, zaprzątały głowę prokuratury przez pięć lat. Ponieważ nie udało się z nich zbudować żadnego sensownego zarzutu, finalnie oskarżono mnie o łamanie konstytucji toaletami, choć prokuratura nie potrafiła dokładnie wyjaśnić, o co jej chodzi.

Piotr Grzymowicz, prezydent Olsztyna, został oskarżony o niedopełnienie obowiązków i przekroczenie uprawnień. Chodzi o nieprawidłowości w funkcjonowaniu Europejskiego Stowarzyszenia Wsparcia Społecznego Helper prowadzącego sieć domów pomocy dla niepełnosprawnych. Na czele Helpera stali sławny agent Tomek i jego żona. Mieli m.in. przywłaszczyć 71 mln zł i prać brudne pieniądze. Prokuratura zarzuciła przestępstwo wszystkim samorządowcom, na których terenie działały domy pomocy. W mojej ocenie główny powód jest taki, że włodarze ociągali się ze wskoczeniem w ubranka pokrzywdzonych.

Liczący 2100 stron akt oskarżenia powstał w 2021 r. Obejmuje 42 osoby. Powinien być zbadany przez sąd w Olsztynie, ale sędziowie odrzucają go od siebie jak gorący kartofel.

eprasa.pl 5ab4f63b20

Światowej piłce nie grozi krach. Przynajmniej nieprędko.

Pieniądz jest okrągły

Sumy, jakie płaci się za piłkarzy i samym piłkarzom, wydają się oderwane od rzeczywistości, podobnie jak u nas opinie prezesa największej partii opozycyjnej. O ile jednak Jarosław Kaczyński rzeczywiście buja w obłokach, o tyle futbolowa ekonomia, choć wydaje się absurdalna, stoi twardo na ziemi.

Inflacja w piłce przebija wszystko, z czym mieliśmy do czynienia w naszych sklepach. Piłkarze są coraz drożsi, a za swoje usługi żądają coraz więcej. Oczywiście wszyscy interesujący się sportem wiedzą, że cały ten proces zapoczątkowało prawo Bosmana, które z niewolników uczyniło wolnych i stawiających wysokie wymagania pracowników. Teraz piłkarz nie jest już przypisany do klubu. Przeciwnie, to klub musi zabiegać o swoje gwiazdy. Po wygaśnięciu kontraktu każdy zawodnik ma prawo pójść tam, dokąd zechce, czyli tam, gdzie więcej mu zapłacą.

W 1990 r. mało znany belgijski piłkarz Jean-Marc Bosman po upływie kontraktu z klubem RFC Liège zapragnął przejść do USL Dunkierka. Dotychczasowy pracodawca postawił twarde warunki finansowe, których ubogi klub z Dunkierki nie mógł spełnić. Rozpoczęła się długotrwała batalia sądowa, której nie będę szczegółowo opisywać, w każdym razie pięć lat później Trybunał Sprawiedliwości Unii Europejskiej orzekł, że po upływie terminu kontraktu każdy piłkarz staje się wolnym człowiekiem i może ze swoją karierą robić to, co sam zechce.

Obieg zamknięty

Ceny futbolistów na rynku transferowym zaczęły rosnąć w zawrotnym tempie, a ich wymagania stały się coraz twardsze. Czy może to trwać w nieskończoność? Znajomi, którzy okazjonalnie interesują się sportem, pukają się w czoło. Przecież bańka musi w końcu pęknąć. Cały ten światek zawodowego futbolu rozpieprzy się kiedyś w drobny mak.

Spokojnie, nie tak szybko – tłumaczę im. Jeśli klub sprzedał zawodnika za, powiedzmy, 50 mln euro, nie znaczy to, że ktoś te pieniądze schował do kieszeni. One zostają w futbolu, bo za te pieniądze kupiony zostanie kto inny. Jedna z mądrości głównego bohatera znakomitej powieści Ilji Erenburga „Burzliwe życie Lejzorka Rojtszwańca" głosi, że jeśli zwalniają z urzędów, to będą przyjmować. Dobrze pasuje to do sytuacji w światowej piłce nożnej. Jeśli kupują, to będą sprzedawać. I odwrotnie.

Zawodowe kluby w Europie (w Stanach wygląda to inaczej) nie są nastawione na zysk. Niektóre z nich, np. Atletico Madryt, Real Madryt i FC Barcelona, w ogóle nie mają właściciela, bo ich właścicielami są sami kibice. W niemieckiej Bundeslidze z urzędu ponad 50 proc. akcji należy do stowarzyszeń kibicowskich. Dlatego finanse piłkarskie stanowią coś w rodzaju obiegu zamkniętego. W dodatku pula pieniędzy jest stale zasilana z zewnątrz. Przede wszystkim liczą się dochody ze sprzedaży praw do transmisji telewizyjnych, z reklam, ze sprzedaży upominków, z barów i bufetów, nie tylko tych na stadionie, ale także wokół niego. Biedniejsze kluby żyją z rozprowadzania biletów i karnetów, a w niższych ligach może to nawet stanowić większość dochodu. Dla bogatszych tzw. dzień meczowy stanowi tylko miły dodatek do budżetu.

Nie tylko kibice są właścicielami klubów. Kiedyś inwestowali w nie rosyjscy oligarchowie, dla których była to lokata kapitału oraz powód do narodowej dumy. Teraz dominują Arabowie dysponujący nieograniczonymi pieniędzmi ze sprzedaży ropy naftowej i gazu ziemnego. Nie jest to zresztą jakaś zachcianka próżnych szejków, ale przemyślana polityka mająca budować międzynarodową pozycję ich krajów.

Amerykańska dojarka

Międzynarodowe federacje starają się ograniczyć dopływ pieniędzy spoza futbolu, co uderza właśnie najbardziej w naftowych potentatów. Dlatego

ustanowiono zasady fair play, polegające na tym, że budżety klubowe muszą być w dużym stopniu zrównoważone. Inaczej mówiąc: chcesz kupić drogą gwiazdę, musisz kogoś sprzedać.

Rys. MIROSŁAW HAJNOS

Takie kluby jak Paris Saint-Germain (Katar) czy Manchester City (Emiraty) dzięki pracy znakomitych prawników wciąż balansują na cienkiej granicy fair play, ale nad klubem z niebieskiej części Manchesteru już zbierają się coraz ciemniejsze burzowe chmury.

Wśród obecnych inwestorów liczną grupę stanowią amerykańscy miliarderzy, najczęściej posiadający już zawodowe zespoły hokejowe, piłkarskie czy koszykarskie w USA lub Kanadzie. Jeśli w Europie szukają zysków, to srodze się zawiodą, bo na naszym kontynencie kopanie piłki odbywa się na innych zasadach.

Przykładem niech będzie jedna z najsławniejszych i najbardziej rozpoznawalnych w świecie drużyn, czyli Manchester United. W posiadanie większości akcji (w dość nieelegancki sposób, ale mniejsza z tym) weszła rodzina amerykańskich deweloperów. Glazerowie próbowali wycisnąć z klubu, ile się tylko dało. W efekcie zespół zaczął przegrywać, odwrócili się od niego kibice, światowa marka do dziś nie może się pozbierać. Wreszcie stało się to, co musiało się stać. Sędziwy sir Jim Ratcliffe (majątek właściciela firmy Ineos wyceniany jest na 25 mld dol.) odkupił od Glazerów 25 proc. akcji Manchesteru United z prawem do zarządzania sportową częścią klubu.

Arabowie w grze

Na piłkarzach można zrobić dobry biznes. Już nie chcę wracać do okazyjnego wykupienia przez Liverpool z AS Roma Egipcjanina Mohameda Salaha w 2017 r. za 42 mln funtów. Rzymski klub gwałtownie potrzebował gotówki i przystał na oferowaną sumę. Działacze Liverpoolu mogli się poczuć tak jak amator motoryzacji, który kupił nowiutkie ferrari w cenie używanego fiata punto.

W nowym zespole Egipcjanin wyrósł na czołowego zawodnika i stał się obiektem starań działaczy z najbogatszych klubów świata. A najbogatsze są obecnie te z Arabii Saudyjskiej, gdzie nie obowiązują żadne zasady fair play.

Al-Ittihad z portowego miasta Dżudda za Salaha gotów był zapłacić Liverpoolowi 215 mln funtów, co uczyniłoby go najdroższym piłkarzem świata. W Al-Ittihad miałby zresztą dobrych kolegów. Saudyjczycy skusili wcześniej m.in. Francuzów Karima Benzemę i N'Golo'Kanté czy Brazylijczyka Fabinho. Samemu zawodnikowi zaproponowano także przyzwoite warunki. Otrzymywałby 3 mln dol. tygodniowo, za każde zwycięstwo dodatkowo 55 tys. dol., o udziale w zyskach za sprzedaż koszulek z jego nazwiskiem nawet nie ma co wspominać, bo to byłoby dla niego coś w rodzaju napiwku.

Sprawa na razie ucichła, bo trener Jürgen Klopp stanowczo stwierdził, że Salah nie jest do sprzedania za żadne pieniądze. Problem w tym, że Niemiec, który w angielskim klubie jest niekwestionowanym bogiem, zaskoczył wszystkich stwierdzeniem, że po zakończeniu sezonu odchodzi z Liverpoolu. Po tylu latach spędzonych na trenerskiej ławce poczuł się wypalony i musi zrobić sobie przerwę. Jak stwierdził, sam nie wie, czy wróci jeszcze do zawodu, ale jeśli się na to zdecyduje, na pewno nie do angielskiej Premier League. Czuje się tak mocno związany z klubem, w którym przepracował osiem lat, że nie mógłby wystąpić w roli szkoleniowca któregoś z rywali. Dopóki więc Klopp przewodzi Liverpoolowi, do sprzedaży Salaha nie dojdzie.

Najdroższym piłkarzem świata pozostanie więc Brazylijczyk Neymar, za którego Paris Saint-Germain zapłaciło FC Barcelona 222 mln euro. To do dziś rekordowy transfer. Żadna inna transakcja nie przebiła jeszcze bariery 200 mln euro, choć jej złamanie w niedalekiej przyszłości wydaje się nieuchronne. Właściciele paryskiego klubu wiązali z przyjściem napastnika wielkie nadzieje. Miał poprowadzić zasilany katarskimi pieniędzmi klub do pierwszego w historii triumfu w Lidze Mistrzów. Owszem, Paris Saint-Germain nie ma konkurencji na francuskim rynku, ale w europejskiej piłce z Neymarem czy bez niego przebić się nie może.

Brazylijczyk nie potrafił dopasować się do zespołu, popadał w konflikty z innymi gwiazdami, a w tym klubie każdy piłkarz jest gwiazdą. Wplątał się w jakieś kłopoty obyczajowe i postanowiono go sprzedać. Dokąd? To jasne. Do Arabii Saudyjskiej.

W sierpniu minionego roku saudyjski klub Al-Hilal poinformował, że wykupił Neymara z Paryża za 90 mln euro. Katarscy właściciele Paris Saint-Germain byli stratni, co nie znaczy, że sam piłkarz dostał po kieszeni. Według niepotwierdzonych informacji inkasuje 150 mln dol. Rocznie.

Żywy towar

Sprzedawanie i kupowanie piłkarzy pod pewnym względem przypomina trochę grę na giełdzie. Można dużo zyskać, ale też dużo stracić. O tym, jak zmieniają się notowania na futbolowym rynku, dobrze świadczą losy holenderskiego pomocnika Xaviego Simonsa, występującego obecnie w niemieckim RB Lipsk.

Simons ma 20 lat. Należał do najzdolniejszych adeptów słynnej barcelońskiej szkółki La Massia. Właściciel La Massii, czyli FC Barcelona, nie potrafił się jednak dogadać ze zdolnym wychowankiem i trafił on do Paris Saint-Germain, gdzie nastolatek zarabiał milion euro rocznie, co nie jest wynagrodzeniem godnym gwiazdy. Obecnie jest wypożyczony do RB Lipsk.

Analitycy z platformy Football Benchmark prześledzili wartość rynkową młodego Holendra, a ta rosła wraz z jego występami na boisku. Według ich wyliczeń w styczniu 2023 r. Simons wart był 19,9 mln euro, ale już w marcu suma ta urosła do 24,5 mln, a w czerwcu prawie się podwoiła do 48,4 mln. Obecnie platforma Football Benchmark wycenia Simonsa na 88,9 mln euro, ma więc szansę zostać sprzedany za sumę wyższą niż 100 mln euro, a barierę tę przekroczyło dotychczas tylko kilkunastu piłkarzy, m.in. Francuzi Kylian Mbappé (za 180 mln do Paris Saint-Germain) i Ousmane Dembélé (za 135 mln euro do FC Barcelona) oraz Anglik Jack Grealish (za 117,5 mln do Manchesteru City). Katalończycy odsprzedali później Ousmane'a Dembélé do Paris Saint-Germain za 50,4 mln euro, czyli stracili prawie połowę pieniędzy, które wyłożyli za grającego bardzo nierówno pomocnika.

Holender Virgil van Dijk w 2018 r. przeszedł z Southampton do Liverpoolu za 100 mln funtów (ok. 177 mln euro) i był wówczas najdroższym obrońcą świata. Nic dziwnego, stanowił zaporę nie do przebicia – podczas całego sezonu Premier League tylko jednemu napastnikowi udało się wykiwać najdroższego obrońcę świata. Później przydarzyła mu się groźna kontuzja, po której nigdy nie wrócił do dawnej formy. Teraz ogranie van Dijka nie jest już taką sztuką jak kiedyś, a jego wartość rynkowa podawana przez wyspecjalizowane portale spadła do 32 mln euro.

Kobiety, jak zwykle w sporcie, są daleko za mężczyznami, choć niedawno i tu pobity został światowy rekord. Napastniczka Levante UD z Walencji Kolumbijka Mayra Ramirez przeszła do Chelsea FC za 450 tys. euro, a łącznie z bonusami może to być nawet pół miliona. Dotychczas rekordowym transferem było przejście Angielki Keiry Walsh z Manchesteru City do FC Barcelona w 2022 r. za 400 tys. euro.

Historia zawodowej piłki nożnej kobiet nie jest jednak długa. To był sport amatorski, dopiero w latach 70. minionego wieku we Włoszech piłkarki mogły liczyć na częściowe ulgi w pracy. Pierwsza profesjonalna liga powstała w Szwecji w 1988 r. Jeśli weźmiemy pod uwagę, że teraz za piłkarkę klub zapłacił pół miliona euro, to nie zdziwi, jeżeli już niedługo zaczniemy mówić o milionach.

Dla porównania: najdroższym obecnie polskim piłkarzem wg wyspecjalizowanych firm jest Piotr Zieliński (35 mln euro). Bardzo kiepsko grający Robert Lewandowski wyceniany jest na 30 mln euro. Pocieszeniem może być dla niego tylko fakt, że notowania Cristiano Ronaldo są jeszcze niższe.

WOJCIECH MITTELSTAEDT
wojciech.mittelstaedt@interia.pl

NIE

SATYRYCZNY TYGODNIK POLITYCZNY REDAGUJĄ:
Jerzy Urban – honorowy redaktor naczelny,
Waldemar Kuchanny – redaktor naczelny,
Andrzej Rozenek – zastępca redaktora naczelnego, Edyta Baker, Małgorzata Daniszewska, Idalia Dubicka, Bożena Dunat, Robert Jaruga, Tadeusz Jasiński, Michał Marszał, Marta Miecińska, Łukasz Piotrowicz, Agnieszka Wołk-Łaniewska, Marek Sanowski.
Krzysztof Olejnik, Paweł Krokodyl Ferenc (grafika, DTP).

WYDAWCA: „URMA" Sp. z o.o.

ADRES redakcji i wydawcy:
00-680 Warszawa, ul. Poznańska 3 lok. 9,
tel.: 22 848-84-48, 22 848-44-20, 22 848-96-68;
tel./fax 22 849-72-47 i 22 849-72-58.

DZIAŁ HANDLOWY: 22 849-59-38.
INTERNET
www.tygodniknie.pl – także prenumerata internetowa.

E-MAIL:
NIE@redakcja.nie.com.pl

Materiałów niezamówionych (tekstów, zdjęć, dokumentów) redakcja nie zwraca. Zastrzegamy sobie prawo skracania i adiustacji tekstów oraz listów. Tytuły i śródtytuły wszystkich zamieszczanych tekstów pochodzą od redakcji.
Za treść ogłoszeń reklamowych redakcja nie odpowiada.

DRUK:
Drukarnia Prasowa S.A., Łódź,
e-mail: sekretariat@dpsa.com.pl

Sprzedaż elektroniczna:
www.eGazety.pl, www.e-kiosk.pl, www.eprasa.pl, www.nexto.pl

Numer zamknięto: **str. 1–16 – 31.01.2024 r.**

eprasa.pl 5ab4f63b20

SŁÓWKA PÓŁGŁÓWKA

Kaczencja starcza – nazywana czasem otępieniem kaczym, w anglojęzycznej literaturze fachowej określana jako „duckism” albo „duck stupor” – to schorzenie upośledzające pracę mózgu na kilku płaszczyznach. Zmiany w tkance mózgu, wywołane przez kaczencję, mają charakter zwyrodnieniowy, degeneracyjny i zanikowy. Przekładają się one na znaczne osłabienie sprawności umysłowej.

Kaczencja zmienia strukturę tkanki mózgu, znacznie obniżając jego sprawność. W konsekwencji u chorego na kaczencję pojawiają się m.in.:

– zaburzenia natury poznawczej (np. pogląd, że wszystkiemu winny jest Tusk),

– problemy z pamięcią (np. zaburzone wspomnienia o bracie),

– problemy z mówieniem (np. „Wola Tuska jest prawem. Byli już tacy, których wola była prawem. Wola führera była prawem”),

– zaburzenia mowy (np. „Marsz, marsz, Dąbrowski, z ziemi polskiej do Wolski…”),

– kłopoty z orientacją (np. brak świadomości, kto jest Zosią, a kto Władysławem i kiedy),

– problemy z liczeniem (np. na dobry wynik wyborczy),

– zaburzenia emocjonalne („Kielce, jak wszystkie inne miasta w Polsce, będą zagrożone tym, że którejś nocy odezwą się syreny, zaczną tutaj spadać pociski rakietowe czy bomby. Będą ginąć ludzie”).

Osoba, którą dotknęła kaczencja starcza, nie potrafi prawidłowo ocenić sytuacji, w której się znajduje. Ma także problemy z rozumieniem i myśleniem przyczynowo-skutkowym.

Według obecnego stanu wiedzy kaczencja jest nieuleczalna – powoduje nieodwracalne zmiany w mózgu. Odpowiednie leczenie farmakologiczne (zwykle preparaty z grupy inhibitorów acetylocholinoesterazy, które podwyższają stężenie ważnego neuroprzekaźnika, acetylocholiny) i wprowadzenie pewnych zmian w stylu życia, jak odpowiednia ilość snu, zdrowa dieta czy regularna dawka ruchu, mogą łagodzić przebieg kaczencji i ułatwiać codzienne funkcjonowanie.

W miarę rozwoju choroby zaburzenia pamięci coraz bardziej się nasilają. Pacjent nie jest sobie w stanie przypomnieć, kto go skrzywdził i dlaczego. Zaczyna opowiadać o wydarzeniach z przeszłości, jednak nie potrafi ich umiejscowić na linii czasu. Chory ma również coraz większy problem z wypowiadaniem zdań, których zazwyczaj nie kończy lub które kończy wciąż tak samo i bez żadnego trybu. Słownictwo dotkniętego kaczencją jest ubogie i ogranicza się do kilku pojęć: Tusk, Niemcy, wrak, Wąsik, Kamiński.

Zaburzenia na tle poznawczym mogą doprowadzić do urojeń i paranoi.

W najcięższym etapie kaczencji starczej pacjent wymaga stałej opieki i kontroli, dlatego partia powinna zdecydować się na oddanie go do specjalistycznego domu opieki.

Artykuł Tatiany Naklickiej i Katarzyny Lipskiej (konsultacja medyczna Aleksandra Witkowska)

zmienił i podał do druku
PRZEMYSŁAW ĆWIKLIŃSKI

Dialogi dam, z których obie żyją

JOANNA SENYSZYN współczuje Morawieckiemu, że tyle latał, a nigdy nie schodził z samolotu na czerwony dywan. **AGNIESZKA WOŁK-ŁANIEWSKA** współczuje sobie, że też nie.

Wołk-Łaniewska: – No już, przestań gwiazdorzyć...

Senyszyn: – A właśnie, że nie przestanę. Bo sobie przypomniałam, jak przede mną rozwinęli czerwony dywan i jeszcze witał mnie chór afrykańskich tambylców.

– Jedyny czerwony dywan, z jakim ja miałam do czynienia, to Jezus on Red Carpet.

– Znowu masz religijne wzmożenie?

– Nie, to taki drink jest: Jezus na Czerwonym Dywanie. W barze Aura na Hożej. Uroczy.

– A co tam jest?

– W barze? Alkohol.

– Nie, w drinku.

– Też alkohol. Choć nie pamiętam jaki. Mescal na pewno…

– Z robakiem?

– Nie, robak jest dla turystów. Poza tym wisienki maraschino i chyba jakiś wermut. Nie wiem, nazwa mnie pociągnęła, choć byłam nieco rozczarowana, bo Jezus mi się nie ukazał w kieliszku.

– Może za mało wypiłaś.

– Pewnie tak, tanio nie jest. Wracając wszakże do twojego czerwonego dywanu…

– To było na Czarnym Lądzie.

– Nie wiem, czy wolno tak mówić. Może lepiej kraj wymień.

– Angola.

– Zżera mnie zazdrość, ale chętnie posłucham.

– Delegacja z PE miała zaplanowaną całodniową wizytę w parku narodowym, ale z europosłem Goebbelsem z Luksemburga spóźniliśmy się – nie z naszej winy – na lot z Luandy. Na lotnisku dowiedzieliśmy się, że nasi odlecieli godzinę temu, więc mamy wracać do hotelu i całą niedzielę spędzić w zamknięciu, bo wyjście na ulicę groziło wprawdzie nie śmiercią lub kalectwem, ale rozebraniem do majtek i puszczeniem bez skarpetek. Goebbels potulnie poszedł do busa.

– Nazwisko zobowiązuje.

– A ja nie odpuszczałam. Coraz bardziej podniesionym głosem żądałam zawiezienia nas do reszty delegacji. Zrobiła się awantura, a że Angola miała system kubański…

– Oj, odczep się od Kuby, tam wszyscy zawsze byli dla mnie bardzo mili na lotniskach, choć nigdy się nie awanturowałam. Raz nawet celniczka zaczęła z nami śpiewać pieśń o Che: *Tu mano gloriosa y fuerte sobre la historia dispara…*

– Słucham?

– „Twoja chwalebna i silna dłoń strzela ponad historią”.

– W Angoli obyło się bez strzelania, ale szefowie lotniska i tak uznali, że najwidoczniej ktoś ważny za mną stoi i odmowa może się dla nich źle skończyć. Podstawili mały dziesięcioosobowy samolocik, dali dwóch opiekunów przeszkolonych w Moskwie i poszybowaliśmy. Na lotnisku przypominającym to w Siewiernym czekał czerwony dywan, lokalny bonza i plemienny zespół śpiewający na powitanie.

– O Che Guevarze?

– Trudno powiedzieć. Miło powspominać, ale rzeczywistość skrzeczy: czytam właśnie klerykalne wypociny na temat moralnej niegodziwości antykoncepcji.

– O, aż do tego stopnia nie masz co robić?

– Przeciwnie, napisałam „Alfabet naszych czasów”, a teraz uzupełniam hasła… Posłuchaj: „Poprzez antykoncepcję małżonkowie pozbawiają swe życie małżeńskie potencjalnej zdolności rodzicielskiej, przypisują sobie władzę, która należy jedynie do Boga, tj. władzę ostatecznego decydowania o zaistnieniu osoby ludzkiej. W tej perspektywie antykoncepcję należy uważać obiektywnie za tak dogłębnie niegodziwą, że nigdy, dla żadnych racji, nie może być usprawiedliwiona”.

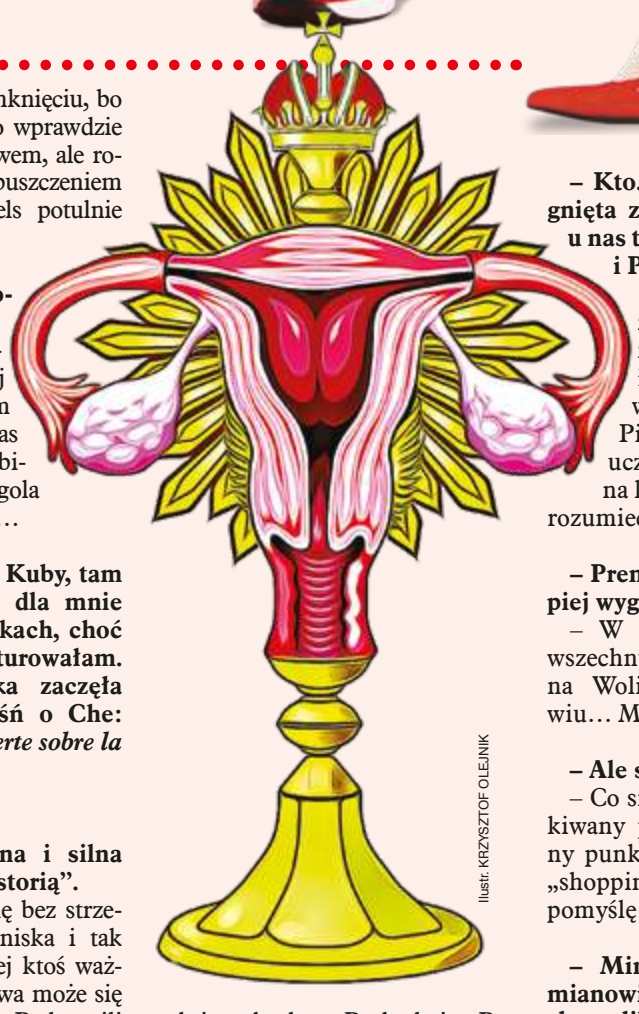

Ilustr. KRZYSZTOF OLEJNIK

– Ani chybi JP2.

– Jakżeby inaczej. Ciąża albo śmierć!

– W Polsce to raczej w parze idzie. Choć MADB…

– Co?

– Kto. To taka maniera ściągnięta z Ameryki, swego czasu u nas też była modna: był PAD i PEK…

– PAD, wiadomo, Anżej, ale PEK to dla mnie zawsze Gregory. Jak byłam młoda, nawet się w nim podkochiwałam. Piękny był chłop. I nie pouczaj mnie, że on miał „ck” na końcu… nazwiska, ma się rozumieć.

– Premier Ewa Kopacz. To lepiej wyglądało niż PDT…

– W PRL Pedet to był Powszechny Dom Towarowy: Wola na Woli, Renoma we Wrocławiu… Miło się tam robiło zakupy.

– Ale się rozmarzyłaś.

– Co się dziwisz? Wszak poszukiwany przez seksuologów słynny punkt G jest na końcu słowa „shopping”. A MADB? Niech pomyślę…

– Ministra Agnieszka Dziemianowicz-Bąk. Ona się tak skomplikowanie nazywa, że ciągle ją przekręcam.

– I kto to mówi?

– Siebie nie przekręcam, a też często się podpisuję „AWŁ”. W każdym razie owa ministrzyca gdzieś ostatnio obiecała, że zdepenalizują, to może i śmiertelność się zmniejszy. Choć Platforma, która postanowiła złożyć własny projekt, żeby nie dać lewicy w ciążę dmuchać, nie planuje dekryminalizować, a tylko legalizować.

– Aż, a nie tylko. Legalizacja automatycznie dekryminalizuje.

– Tak i nie, bo chodzi o to, żeby aborcję wyrzucić z kodeksu karnego w ogóle, a nie tylko do 12. tygodnia. Wracając do cytatów z mądrości religijnych na temat seksu, przebijam: „Komórki jajowe należą do źródła życia u każdej kobiety. Znajduje się ono w niższej części tułowia, wewnątrz ciała. Można też powiedzieć, że jest to sanktuarium życia. Plemniki należą do źródła życia u każdego mężczyzny. Znajduje się ono głównie na zewnątrz ciała w zakończeniu tułowia oraz częściowo wewnątrz ciała”.

– Coś w tym jest, bo faktycznie w środkowej części tułowia są żołądek, wątróbka, flaki, w wyższej płuca, serce i wszystkie te podroby wewnątrz ciała. Na zewnątrz tylko dwa sanktuaria mleka. Dawaj autora!

– Autorzycę, naturalnie: Wanda E. Papis, „Wzrastam w mądrości”. Podręcznik do wychowania do życia w rodzinie z roku 1993.

– W tej dziedzinie od 2015 r. MEN ma za ekspertkę radiomaryjną Dudziak z KUL, przy której wysiada nawet odwołana już kuratorka Nowak.

– To ta od: „mycie części intymnych to grzech i bezeceństwo”?

– Ta sama. Matka chrzestna hasła „Śmierdź wrogom ojczyzny”.

senyszyn@wp.pl
wolklaniewska@wp.pl

PRZYGODY JARKA NIEZDARKA ODC. 284

Rys. RYSZARD DĄBROWSKI

eprasa.pl 5ab4f63b20